Nr. 6 i 7. Kraków, czerwiec i lipiec 1908. Rok IX.



:: PISMO DLA KOBIET ::
wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . kor. 1·50 | zagranicą . marek 1·50
półrocznie „ 0·80 | pojedynczy numer 15 gr.

W państwie rosyjskiem:

Rocznie 1 rubel. | Półrocznie 50 kopiejek.

ADRES REDAKCYI: SZPITALNA 7, II P.

Jak corocznie — tak też w roku bieżącym w czasie wakacyjnym — a więc w lipcu wydajemy „Przodownicę" za czerwiec i lipiec za dwa miesiące — następny Nr. wyjdzie we wrześniu za sierpień i wrzesień — od października wychodzić będzie już regularnie każdego miesiąca. A to dlatego, że większa część współpracowniczek i współpracowników gazetki naszej pragnie w tej porze roku — po całorocznej pracy wypocząć. ***Administracya.***

Matko!.. dziecka strzeż!

Matko! dziecka strzeż!!!

Niemiec czyha na nie i pragnie je przerobić na obcą duszę, obce serce dla Polski.

Niemiec czyha na nie i chce doprowadzić do tego, ażeby ono polskiej mowy nie znało i polskiej ziemi nie miłowało, jak ją miłować należy.

Niemiec szkoły i ochronki zakłada, do swej roboty wabi i nęci, przez swoją szkołę obiecuje dać lepsze stanowisko w świecie i większe znaczenie wyrobić.

Niemiec chytrze i nikczemnie chce przez dzieci wynarodowić nas i potem z tryumfem wołać: — Oto Polaków wytępiliśmy!

Choćby ci w niemieckiej szkole obiecano sto nagród i podarunków, sto korzyści i zarobków na później — chroń duszę polską i nie daj dziecka, bo każde słowo w niemieckiej mowie tam wypowiedziane, zabijać ci zacznie w sercu dziecka polskiej mowy dźwięki i każda myśl w niemieckiej szkole zdobyta, zatracać będzie w duszy polskiej myśl polską.

Matko! dziecka strzeż!!!

Nie jest ono tylko twojem dzieckiem i tylko twoim skarbem. Jest druga matka, Ojczyzna i ona ma prawo żądać, ażeby jej dzieci nikt nie wydzierał i nie zabierał, ona ma prawo dopominać się o to, ażeby dziecko ją kochało i jej służyło swą pracą w narodzie i swojem życiem szlachetnem.

Czemże będzie dziecko twoje dla Polski, gdy Niemcy go nauczą myśleć, czuć i żyć? Jakże ono miłować tę Ojczyznę będzie, gdy Niemcy z niej szydzić poczną i w młodej duszy zaszczepią jad nienawiści?

Matko! dziecka strzeż!!!

Gdy dasz je do szkoły niemieckiej, pożegnaj, jako Polaka i pomyśl: Ojczyźnie wydarłaś skarb cenny...

Polsce trzeba milionów, milionów ludzi szlachetnych, prawych, silnych, pewnych, ażeby wydźwignęły kraj z pohańbienia i niedoli. Każde dziecko z niemczone w szkole niemieckiej to strata i szkoda niepowetowana.

Ani pożar niszczący wsie całe, ani grad łamiący plony pól naszych, nie przynoszą tyle szkody, ile daje utrata duszy jednego dziecka, zapisanego do szkoły niemieckiej. Spaloną wieś odbudują ludzie, zniszczone łany dadzą plon na drugi rok, a któż nauczy to polskie dziecko czcić i kochać Ojczyznę, gdy niemiecka szkoła wychowa je tak, iż nawet mowy swej rodzinnej zapomni i głosu rodaków nie zrozumie?

Matko! dziecka strzeż!!!

Przyjdzie kiedyś chwila... z piersi polskich dzieci zabrzmi pieśń pełna nadziei i wesela... przeleci nad polami od chat do chat.

„Jeszcze nie zginęła póki my żyjemy“!... a głosu twego dziecka tam nie będzie — ono żyje, ale nie dla Polski, ono jest siłą, ale nie dla Ojczyzny jego praca... Przyjdzie kiedyś chwila... naród się dźwignie, podniesie, otrze łzy — poczuje się w mocy i sile i powie: — Ojczyzno, my, syny twoje... ale ramion twego dziecka tam nie będzie i z serca twego dziecka głos radości nie ozwie się.

A wtedy Polska spyta: — gdzież dzieci tamte?...

Matko! dziecka strzeż!!!

W polskiej szkole niech się dziecko uczy, w polskiej mowie niech kształci swój umysł, po polsku niech myśli i czuje, bo nie ten jest Polakiem, kto ma polskie nazwisko, lecz ten, kto Polskę miłuje, szanuje i dla niej żyć umie...

Skarb twój — skarbem jest Ojczyzny...

Polskie dziecko niech dla szczęścia Polski rośnie i pracuje!

Precz z niemieckiemi szkołami i ochronkami!



POLSKA I JEJ GRANICE.

(Ciąg dalszy).

Rozprzestrzenienie w trójnasób państwa polskiego i ochrzczenie Litwy, zapłaciła królowa Jadwiga osobistem szczęściem swojem, wyrzekła się bowiem ukochanego Wilhelma, a poddała małżeństwu z obojętnym, a może i niemiłym jej osobiście Jagiełłą. Była mu jednak wierną żoną, a życie swoje poświęciła dobrym uczynkom, pracy na chwałę Bożą i sprawom Polski, któremi gorliwie się zajmowała. O jej miłosiernych uczynkach możnaby wiele napisać — o pracy świadczą do dziś dnia przechowane w skarbcu na Wawelu roboty jej rąk pracowitych, a o gorliwości w sprawach państwa pozostały liczne ślady w tamtoczesnych aktach i dokumentach. Jej także zawdzięcza wzrost i rozwój Akademia krakowska, słynny Uniwersytet Jagielloński; gdy Akademia ta bowiem, założona jak wiemy, w roku 1364. przez Kazimierza Wielkiego, po jego śmierci, za rządów króla Ludwika, mniej pomyślnych doświadczyła losów, Jadwiga zajęła się nią gorliwie i oddawszy klejnoty swoje i kosztowności na jej uposażenie, dopomogła do ustalenia i rozkwitu tej najwyższej szkoły narodowej polskiej.

W roku 1399. urodziła się Jadwidze córka. Przyjście jej na świat wywołało wielkie zadowolenie Jagiełły i radość w narodzie polskim. Nowo-narodzoną królewnę trzymał do chrztu za pośrednictwem nuncyusza papież Bonifacy IX., a Witold, brat Jagiełły, ofiarował jej srebrną kolebkę. Lecz nie długo

w niej leżała Bonifacya Elżbieta, tak ochrzczona na cześć papieża i matki królowej Jadwigi, gdyż wkrótce umarła, a niedługo po niej przeniosła się do wieczności królowa. Śmierć Jadwigi wywołała wielki żal w narodzie, a Władysława Jagiełłę tak zmartwiła, że chciał złożyć koronę, nie poczytując się nadal za uprawnionego do jej noszenia. Lecz uspokojono go małżeństwem z Anną, córką hrabiego Cyllei, która jako wnuczka Kazimierza Wielkiego, po córce jego również Annie, wydanej za wspomnionego hrabiego, miała takie samo prawo do polskiej korony, jak zmarła Jadwiga.

Nie ostatnia to była żona Jagiełły, który po jej śmierci, po raz drugi jeszcze owdowiał, a ożenił się dwa razy; najpierw z Elżbietą z Pileckich Granowską, wdową po kasztelanie nakielskim, następnie zaś, w roku 1422., z księżniczką ruską Zofią, z którą w podeszłym wieku miał dwóch synów: Władysława, urodzonego w roku 1423. i młodszego od niego o lat cztery Kazimierza.

Panowanie Władysława Jagiełły bardzo długie, bo lat 48 trwające, było wogóle dla Polski nader pomyślne; nie brakowało mu przecież najrozmaitszych kłopotów, przeciwności, a nawet i niebezpieczeństw.

Kłopoty sprawiali Polsce i królowi rodzeni bracia królewscy, którzy wciąż wichrzyli na Litwie, wszczynali niesnaski i niepokoje, w pogoni za władzą wielko-książęcą. Kłopotów i przeciwności dostarczał niemało stryjeczny brat króla Witold, wódz znakomity człowiek wysoce uzdolniony, ale chwiejny i nieobliczalny, dręczony żądzą znaczenia i władzy, a ulegający łatwo podszeptom i złym radom.

Chcąc zadośćuczynić jego żądzy panowania, a zużytkować ogromne zdolności, mianował go król Władysław wielkim księciem litewskim. Witold zwycięzko walczył z Krzyżakami i Tatarami, rozszerzając daleko na wschód, poza Dniepr granice Litwy, lecz w miarę powodzeń, rosła jego duma i żądza władzy; nie dość mu już było mitry wielkoksiążęcej, pragnął korony. Poczciwy Jagiełło gotów mu był ustąpić polskiej dla miłej zgody i pokoju, ale Witoldowi nie podobała się polska korona. Król polski musiał słuchać prawa, stosować się do rad senatorów i starszych narodu, nic nie mógł bez ich wiedzy i woli uczynić. Nie takim królem chciał być Witold. On pragnął być wyższym nad prawo samowładcą, rozkazującym narodowi, jak karnym zastępom żołnierskim. Samowładcą, którego wola byłaby prawem. Marzył przeto o podbiciu krajów moskiewskich i o koronie Litwy, zwiększonej tymi krajami. Marzenia te podsycali Krzyżacy i wierny przyjaciel ich król węgierski Zygmunt. Krzyżacy pragnęli rozerwać związek Litwy z Polską, by każdy z tych krajów łatwiej z osobna pokonać i podbić. Zygmunt nie mógł zapomnieć Polakom, iż nie chcieli mieć go królem swoim i przenieśli nad niego Jadwigę; a przytem Niemiec z rodu, nienawidził Polski, jej wolnomyślnych praw i zwyczai.

Matactwa te Krzyżaków i Zygmunta groziły Polsce ciągłem niebezpieczeństwem, gdy nadto Krzyżacy wciąż niepokoili granice Polski i Litwy, trzeba było raz kres temu położyć.

W roku 1410. okoliczności ułożyły się pomyślnie ku temu, gdyż i naród polski zniecierpliwiony zdradzieckiem postępowaniem Krzyżaków, pragnął ich ukarania i Witold był przychylnie usposobiony. Postanowiono więc użyć wszystkich sił, by złamać Krzyżaków. Król zebrał wielkie wojsko, złożone z Polaków i Litwinów, które w lipcu wspomnionego wyżej 1410. roku wkroczyło do kraju podległego Krzyżakom.

Krzyżacy, czując, że to o istnienie ich chodzi, że zbliża się na nich dzień sądu i pomsty, przygotowali się dobrze do stoczenia boju. Posprowadzali ze wszystkich krajów europejskich: z Niemiec, Francyi, Anglii, rycerzy ochotników, jakby na jaką wyprawę krzyżową przeciw poganom, jakoteż uzbroili się we wszelką broń, jaka wówczas istniała, nawet w nieużywane jeszcze do

owego czasu na żadnej wojnie armaty, które po raz pierwszy pod Grunwaldem pojawiły się na polu bitwy.

Dnia 15. lipca 1410. roku spotkały się nasze wojska z Krzyżakami na polach wspomnianej wsi Grunwaldu.

Krzyżacy podzieleni na 51 oddziałów rozwinęli się okazale na placu boju. Trzydzieści pięć z tych oddziałów, z powiewającą nad każdym chorągwią, stanęło na linii bojowej — szesnaście również odznaczonych chorągwiami, w odwodzie, tworząc tak zwaną rezerwę.

Po naszej stronie na lewo, stanęli Polacy w zbrojach i pod chorągwiami, na prawo Litwini w małej tylko części zbrojami żelaznemi okryci — zresztą w zwykłych ubraniach, uzbrojeni w szable i łuki.

Lewem skrzydłem dowodził Zyndram z Maszkowic, miecznik krakowski; prawem Witold wielki książe litewski.

Król Władysław Jagiełło stanął z tyłu za wojskiem na wzgórzu, otoczony orszakiem rycerzy i dworzan.

Dłuższy czas stały wojska naprzeciw siebie, czekając nieprzyjacielskiego natarcia.

W czasie tym pyszni i zarozumiali Krzyżacy, szydząc z Polaków, przysłali królowi dwa miecze, jeden dla niego, drugi dla Witolda, chcąc przez to okazać swą wzgardę i lekceważenie. Król Władysław, skromny i bogobojny, przyjął spokojnie to wyzwanie i kazał odpowiedzieć wielkiemu Mistrzowi Krzyżaków Ulrykowi von Jungingen, iż dziękuje mu za miecze, bo tych nigdy nie za wiele w boju.

Wkrótce potem dał rozkaz uderzenia na wroga.

Pierwsza w bój poszła Litwa, mężnie i ochoczo, lecz zwarłszy się z lepiej wyćwiczonymi i uzbrojonymi rycerzami Krzyżaków, po dłuższym zaciętym boju podała tył i pierzchła z pola walki. Teraz cały nawał krzyżacki zwalił się na nasze lewe skrzydło. Zawrzał bój srogi. Nasze chorągwie zwarły się z krzyżackiemi i długo żadna strona nie mogła drugiej przełamać.

W czasie tego zmagania się nieprzyjacielskich zastępów, jeden z rycerzy niemieckich Diepold von Kiekieritz, przedarłszy się przez szyki polskie, uderzył na orszak królewski i rzucił się z włócznią w ręku na samego króla. Król spiął konia ostrogami i poskoczył ku Niemcowi, ale tymczasem Zbigniew Oleśnicki, dworzanin królewski, przypadł z boku i silnem uderzeniem zsadził Diepolda z konia, a król pchnąwszy kopią w czoło zuchwałego Niemca, trupem położył.

Tymczasem zwycięstwo zaczęło się przechylać na polską stronę. Niemcy, chociaż przemagający liczbą, rąbani i kłuci przez naszych rycerzy, zachwiali się i zaczęli ustępować — wówczas Mistrz wielki porwał owych szesnaście oddziałów, stojących w odwodzie i poprowadził na Polaków. Znów się zachwiało zwycięstwo. Naszym znużonym zaciętym bojem, obskoczonym przez świeże zastępy wrogów, zaczynało być ciężko — gdy nagle od prawej naszej strony wzbiły się kurzu tumany, gromkie okrzyki rozdarły powietrze i jakieś świeże zastępy wpadły na pole walki. Byli to Litwini, których mężny Witold dogoniwszy, w ucieczce powstrzymał i na nowo w bój prowadził. Na widok ich zadrżeli Niemcy — Polacy zaś pokrzepieni niespodziewaną pomocą, z podwojoną natarli siłą. Teraz krótko już trwała walka — Niemcy przyciśnięci przez Polaków, obskoczeni przez Litwę, żądną zmyć hańbę ucieczki, nie mogli dłużej podołać. Bój zmienił się w rzeź i pogrom straszliwy, z którego zaledwo mała garstka Krzyżaków cało ujść zdołała.

Przed króla Władysława, śledzącego ze wzgórza tok walki i zwycięstwa, przypadał co chwila któryś z rycerzy polskich i pod nogi królewskiego konia ciskał chorągiew krzyżacką — wnet leżało ich tutaj 51, to jest wszystkie, jakie Niemcy w bitwie rozwinęli!

O zachodzie słońca ustał pogrom. Na po-

lach Grunwaldu leżało 50 tysięcy Niemców, w ich liczbie wielki Mistrz Ulrich von Jungingen — wszyscy dygnitarze Zakonu, większa część komturów i rycerzy. Gdy król przyjechał na miejsce, gdzie na pochyłości wzgórza, obok wielkiego Mistrza, złożono w długich szeregach najznamienitszych Krzyżaków — zatrzymał się bardzo wzruszony i wskazując na trupy, zapytał: „Na Boga! Ażali cały Zakon tu leży?!“

W obozie krzyżackim znaleziono całe stosy więzów, przygotowanych do pętania Polaków, których zarozumiali Niemcy spodziewali się pobrać do niewoli, oraz ogromną ilość beczek wina, przeważnie czerwonego, przeznaczonego na wznoszenie toastów, po spodziewanem nad Polakami zwycięstwie. Król Władysław, obawiając się, by się tem winem nasi żołnierze nie popili, kazał rozbić beczki i wino wypuścić — czerwone wino popłynęło szeroko po grunwaldzkiem błoniu i stało się powodem twierdzenia, iż krew krzyżacka płynęła pod Grunwaldem potokami.

Potokami płynęło wino, ale i krwi niemieckiej dosyć się rozlało, by na zawsze już złamać siłę i potęgę przeniewierczego Zakonu.

Od pogromu grunwaldzkiego przestali Krzyżacy być groźnymi dla Polski. Pogrom ten jednak nie przyniósł na razie takich korzyści, jakie mógł i powinien był przynieść.

Wobec olbrzymiej klęski, jaką w dniu 15. lipca 1410. roku ponieśli Krzyżacy pod Grunwaldem, można było zupełnie ich zniszczyć, a kraje przez nich uciskane na zawsze do Polski przyłączyć. Przeszkodzili temu posłowie króla węgierskiego Zygmunta i sam współzwycięzca z pod Grunwaldu Witold!

Posłowie owi znajdowali się przy naszym królu od początku wojny, której Zygmunt starał się najpierw przeszkodzić, później zaś, chcąc ratować Krzyżaków na wypadek ich klęski, polecił posłom, by w takim razie wypowiedzieli w jego imieniu wojnę Polsce, co też oni zaraz po bitwie grunwaldzkiej uczynili. Mimo to wojsko nasze pociągnęło pod Malborg, stolicę Krzyżaków. Tu jednak Witold zazdrosny o powodzenie Polski i obawiający się zbytniego wzrostu jej potęgi, wobec którego zmalałoby jego osobiste znaczenie, namówił Jagiełłę do ustąpienia z pod Malborga i sam z Litwinami pierwszy z pod niego odszedł. Tymczasem nadeszły posiłki Krzyżakom z Inflant, od pokrewnego im zakonu rycerskiego, Kawalerów mieczowych i tak wrogi Polsce Zakon na razie ocalał.

W roku 1411. zawarto z Krzyżakami w mieście Toruniu pokój, który stosunkowo do odniesionego zwycięztwa, bardzo małe przyniósł Polsce korzyści.

W tym samym roku król węgierski Zygmunt, został cesarzem niemieckim, czyli jak wówczas nazywano, rzymskim, chociaż ów cesarz nad Niemcami, nie nad Rzymem panował. Zyskawszy przez to na znaczeniu, zaczął z podwojoną gorliwością knuć zdrady przeciw Polsce, a opiekować się Krzyżakami

Do wypowiedzianej przez niego Polsce wojny, nie przyszło, a nawet Zygmunt pragnąc zatrzeć złe wrażenie sprawione na Jagielle tem wypowiedzeniem, zaprosił go na Spiż, położony w Karpatach na granicy Węgier, do miasta Lubowli, gdzie usiłował namówić naszego króla do wyprawy na Wołoszczyznę i podzielenia tego kraju pomiędzy Węgry i Polskę.

Król Władysław odrzucił tę propozycyę niezgodną z jego i z narodu polskiego uczciwością, natomiast pożyczył Zygmuntowi 37.000 kop groszy pragskich w zamian za wziętą w zastaw ziemię Spiską, dawną polską krainę, która teraz do Polski powróciła i odtąd, jako starostwo spiskie, stale do niej należała.

Równocześnie starał się król Władysław o większe zbliżenie i ściślejsze połączenie Litwy z Polską. W tym celu odbył się zjazd w H o r o d l e nad Bugiem, w roku 1413. Na zjeździe tym zatwierdził król urządzenia i swobody polskie przyznane Litwie, podczas jej ochrzczenia, przedstawiciele zaś Polski

i Litwy przyrzekli sobie wieczyste nierozerwalne połączenie, pod berłem jednego króla.

Bojarzy litewscy i ruscy otrzymali te same prawa, co rycerstwo polskie, a to, bratając się z nimi, poprzyjmowało ich do swoich herbów, których bojarzy dotychczas nie mieli.

Zbratanie to wywołało serdeczne zbliżenie Polaków z Litwinami ogólną radość, którą rozbrzmiewało Horodło i która radosnem echem rozeszła się szeroko po całej Polsce i Litwie.

Król pomianował litewskich wojewodów, kasztelanów, oraz innych dostojników i urzędników, i urządzając Litwę na wzór polski, w miejsce księstw, na jakie się do tego czasu dzieliła, poustanawiał województwa.

Zjazd horodelski jest niezmiernie doniosłem, pięknem i wspaniałem wydarzeniem dziejowem, jakiego prócz naszej, nie zna żadna inna historya narodowa — zbrataniem się dobrowolnem dwóch, do niedawna nieraz wrogo przeciw sobie stojących narodów, a teraz w imię miłości chrześcijańskiej i wspólnego dobra złączonych na wspólne życie, na dolę i niedolę.

Zjazd ten, obok chrztu Litwy, był początkiem zupełnego zjednoczenia się Litwy z Polską, wiekopomnej Unii, dokonanej w 156 lat później, dnia 12. sierpnia 1569 r. w Lublinie.

Inżyn. Eustachy Śmiałowski.



Buntownicza jabłoń rozkwitła w Warszawie i zwycięstwo oberpolicmajstra.

Pod tym tytułem znajdujemy w kronikach z roku 1863. w maju, zapisane następujące zdarzenie, które przypominamy tu w podobnych warunkach, jakie i teraz do niedawna panowały i panują w Warszawie, a które w gorących patryotycznych sercach ludu warszawskiego krwawo się zapisały, porywając z pomiędzy niego najszlachetniejsze ofiary.

Oto, co pisze kronika: „Lud biedny warszawski, nieustannie pozostający pod grozą jakichś strasznych wypadków, w prostej swej wierze oczekuje ratunku jakiegoś od cudownych mocy niebieskich — choćby znaku, że Bóg o nim nie zapomniał w krwawej niedoli. I tak dnia jednego rozgłosiło się w mieście, iż na drzewie okazał się krzyż promieniejący. Rzecz miała się tak, iż pewna uboga kobiecina, gracująca ścieżki w ogrodzie, uklękła nagle przed rozkwitłą jabłonią, wołając, że się jej ukazał krzyż w promieniach między gałęziami drzewa. Lud zaczął tłumnie się gromadzić i głośno rozprawiać, iż znak ten jest znakiem opieki boskiej nad Polską, a zarazem nadzieją, iż wybawi ją wkrótce z niewoli moskiewskiej; niebawem też na miejsce cudu przybyła, jak się można było spodziewać policya, by sprawdzić rzekomy cud. Okazało się, że na jednej odosobnionej gałęzi i wzniesionej nad inne, rozkwitłe pędy kwiatowe przedstawiały istotnie ramiona krzyża, u nasady zaś drobne latorostki tworzyły jakby okopanie zwykłe u stóp krzyża.

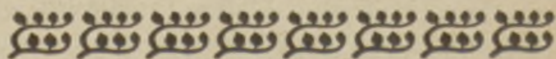
Znak zbawienia, który zrozpaczona ludność uważa jako godło męki swojej i przyszłego zmartwychwstania ojczyzny! znak święty, który podtrzyma może wiarę, nadzieję i odwagę w sercach słabnących udręczonych nad miarę! — Oto dość, by władza moskiewska poczytała to wszystko za występek i zamach na bezpieczeństwo panującego cara.

— Ściąć jabłoń! — rozkazuje policmajster, ale ogrodnik się waha.

— Uwięzić go, jako i tych, co chcą bronić drzewa. — Stało się.

Wtedy bohaterski urzędnik własnoręcznie z pałaszem rzuca się na drzewinę. Deszcz słodkich, bladoróżowych pąków spada na pochylone żałością głowy biedaków, a zwycięski bohater spieszy zdać raport przed carem z odniesionego zwycięstwa nad buntowniczą polską jabłonią, rozkwitłą krzyżem męki Pańskiej, na ziemi krwią i łzami użyźnionej, na ziemi krzyżów“.

A. B.





RUŚ i RUSINI.

(Dokończenie).

Każdy książę ruski musiał całować Basmę, t. j. odcisk stopy chańskiej, odbity na wosku, zlizywać kumys, czyli mleko kobyle, z grzywy konia, na którym chan udzielał posłuchań, pijąc to mleko i umyślnie je rozlewając, płacić haracz i każdego czasu być na rozkazy chańskie ze swoją drużyną bojową.

Naturalnie, że książęta nie ze swojej kieszeni haracz płacili, lecz wyciskali go z ludu im podwładnego i to nietylko w gotówce, płodach rolnych, albo innych wartościowych przedmiotach, ale także w ludziach, najczęściej w młodych dziewczętach i kobietach, gdyż one, jak wogóle ludzie, były na równi z bydłem, przedmiotem tatarskiego handlu!

Ciężka to była i hańbiąca ta podległość Tatarom.

Od takiej podległości oswobodził Ruś Czerwoną Kazimierz Wielki w r. 1340., od takiej uwolniły później inne ziemie ruskie zwycięstwa władcy Litwy, Gedymina.

Nieliczny naród litewski mieszkał nieopodal brzegów morza Bałtyckiego. Na wschód graniczył z Białą Rusią, na zachód z morzem i siedzibami pokrewnych Litwinom Prusaków, ujarzmionych przez Zakon krzyżacki, na południowy zachód z ziemiami polskiemi.

Naród to był wojowniczy i chociaż musiał ciągłą walkę prowadzić z Krzyżakami, którzy dążyli do podbicia i ujarzmienia Litwy, groźnym był także i dla innych swoich sąsiadów. Wreszcie pod panowaniem Gedymina, w pierwszej połowie czternastego wieku do takiej wzbił się potęgi, iż odebrał książętom ruskim całą Ruś przeddnieprską.

Gdy wkrótce potem, dzięki poświęceniu królowej Jadwigi, Litwa połączyła się z Polską, podbita przez Gedymina Ruś, oswobodzona od najezdniczych książąt ruskich, a właściwie normandzkich i od tatarskiego zwierzchnictwa, wróciła na łono wspólnej ojczyzny praojców naszych.

Przecież podbój normandzki wschodniej części naszej ojczyzny i panowanie nad nią książąt ruskich, pozostawiły trwałe, do dziś dnia niezatarte ślady po sobie.

Prastara mowa nasza, w zachodniej, piastowskiej Polsce, rozwijała się pod wpływem wiary chrześcijańskiej, przyjętej za panowania Mieczysława I., wprost ze Rzymu i kształciła na wzór starożytnego języka Rzymian, łaciny. Przeciwnie, ziemie, podległe książętom ruskim, otrzymały tę wiarę z woli księcia kijowskiego Włodzimierza w r. 988, za pośrednictwem patryarchatu konstantynopolitańskiego, który w 66 lat później oderwał się od jedności z Rzymem. Wskutek tego mowa miejscowej ludności uległa wpływom języka cerkiewnego, staro-bułgarskiego, który panował w kościele wschodnim, konstantynopolitańskim.

Stąd powstała różnica pomiędzy teraźniejszą mową polską a ruską.

Ta sama prastara mowa, wykształcona na łacinie, zamieniła się w język polski, spółgłoskowy, t. j. używający stosunkowo mniej samogłosek — pod wpływem zaś języka cerkiewnego, staro-bułgarskiego stała się na wzór jego, językiem ruskim, samogłoskowym, używającym bardzo wielu samogłosek, który zarazem zatracił wśród nich dźwięki nosowe, jak samogłoski *ą* oraz *ę*, jakoteż spółgłoskę *g*, którą wszędzie literą *h* zastępuje.

Tak np. wyraz polski „głowa“ brzmi po rusku „*hołowa*“, „człowiek“ — „*czołowik*“ i t. p.

Mimo tych odmian, mowa polska tak mało się różni od ruskiej, że kto umie po polsku, ten bez żadnej trudności zrozumie mówiącego po rusku i naodwrót, znający jeden z ludowych języków ruskich, zrozumie mowę polską, jeżeli mu w tem tylko nie przeszkadza lenistwo umysłowe, upór, lub zła wola.

Powiedzieliśmy „jeden z ludowych języków ruskich“, gdyż chociaż się mówi wciąż o ruskim języku, to w rzeczywistości jest wiele jego odmian i w każdej niemal okolicy Rusi mówią trochę inaczej. Inaczej na Białorusi niż na Ukrainie, tu znów odmiennie niż na Rusi Czerwonej, a w każdej z tych prowincyi są znów rozmaite miejscowe sposoby mówienia, wszystkie jednak zrozumiałe pomiędzy sobą, jakoteż dla umiejącego po polsku.

W czytaniu po rusku główną przeszkodą dla Polaka jest odmienny alfabet, którego uparcie używają Rusini. Alfabet ten, wykształcony na cerkiewnej kirylicy, całkiem jest podobny do moskiewskiego, a obecnie, przy używaniu czcionek drukarskich o łacińskim kroju, polega z małymi wyjątkami, jak znaki *ż*, *sz*, *szcz*, *ł*, i t. p. na przestawieniu znaczenia liter, tak np. polskie *p*, znaczy w ruskiem *r*, *c* czyta się *s* i t. p., ponieważ zaś inne litery jak np. *k* zachowują to samo co w polskiem brzmienie, powstaje niemałe utrudnienie w czytaniu po rusku. Chcąc jednak, by Polak zrozumiał rzecz napisaną w tym języku, zbytecznem jest tłumaczenie jej na polskie — wystarczy wypisać ją łacińskiemi literami, a zaraz zrozumiałą się stanie.

Inaczej z językiem moskiewskim, przezywanym przez Moskali rosyjskim, albo nawet russkim, ten całkiem różni się tak od polskiego, jak i od prawdziwych ruskich języków. Język ten bowiem powstał z wykształcenia języka fińskiego, oraz języków ludów turańskich na języku cerkiewnym staro-bułgarskim i z tej tylko racyi ma dalekie podobieństwo do ruskiego.

Po połączeniu się Litwy z Polską, gdy na zjeździe w Horodle, w r. 1413., zniesiono urządzenia feudalne na Litwie i Rusi, a zaprowadzono wolność polską, bojarzy litewscy i ruscy zbratali się ze szlachtą polską i w dowód jedności i braterstwa poprzyjmowali herby, a niektórzy i nazwiska polskie. Odtąd bojarzy ruscy, potomkowie drużyn bojowych Ruryka, a często i jego właśni, stali się Polakami, wiernymi synami Korony, a następnie Rzeczypospolitej polskiej.

Lud wiejski zachował narzucone mu przez Normandów cechy ruskie, gdyż nikt mu w tem nie przeszkadzał. Nikomu też nie przyszło na myśl prześladowanie lub usuwanie języka ruskiego, a podobieństwo jego z polskim, spowodowało częste jego używanie i rozpowszechnienie wśród Polaków.

Statut litewski, t. j. zbiór praw dla Wielkiego Księstwa litewskiego, ułożono i wydrukowano po rusku, a na królewskim dworze Jagiellonów używano mowy ruskiej na równi z polską.

Za czasów niepodległej Polski nigdy nie istniało jakiekolwiek prześladowanie ludu lub języka ruskiego. Nie istniała też żadna „kwestya ruska“, gdyż wojny kozackie, spowodowane przez szlachcica polskiego, Bohdana Abdank Chmielnickiego, nie miały cechy narodowej tylko społeczną, tak samo jak bunt hajdamaków z r. 1768., wywołany przez Moskali w celu rozbicia konfederacyi barskiej i osłabienia Rzeczypospolitej.

O wydarzeniach tych pomówimy obszerniej na innem miejscu; tutaj musimy jeszcze tylko stwierdzić, iż ludność Rusi Czerwonej, zwanej za Rzeczypospolitej województwem ruskiem, a obecnie Galicyą wschodnią, w czasie wspomnianych wydarzeń stała wiernie po stronie Polski. Podczas wojen kozackich odpierała walecznie we Lwowie i innych grodach napady Chmielnickiego, a z buntem hajdamaków najmniejszego związku nie miała,

Teraźniejsza „kwestya ruska“ urodziła się w roku 1848., z łaski ówczesnego gubernatora Galicyi Stadiona, który ją wynalazł w celu osłabienia polskiego ruchu narodowego. Urodzona przeciw Polakom i Polsce, wzrosła wbrew interesom i dobru ludu ruskiego, w nienawiści wszystkiego co polskie tak, że dzisiaj, nie lud ruski, ale przewódcy jego zawsze, to chcą i do tego dążą, czego nie chcą Polacy, bez względu na to, czy to

ich chcenie komukolwiek, nawet i im samym korzyść przynieść może.

Dziś lud ruski w zaborze moskiewskim takiego samego doznaje ucisku, jak naród polski; w Galicyi zaś używa takiej samej wolności jak Polacy. Tu język ruski posiada takie same prawa jak polski, dopuszczony jest do szkół, sądów i urzędów, a szkół ludowych z językiem wykładowym ruskim więcej jest niż z polskim, gdyż na 4398 szkół takich, istniejących w całej Galicyi, w 2196 szkołach wykłada się po rusku; we wschodniej zaś, czyli na dawnej Czerwonej Rusi, jest szkół polskich zaledwo 849, a ruskich aż 2113!

I dzisiaj więc nie może być mowy o uciskaniu ludu ruskiego przez Polaków, którzy czuliby się bardzo szczęśliwymi, gdyby mieli takie prawa pod Moskalem lub Prusakiem, jakie lud ten posiada w Galicyi.

To też nie wszyscy Rusini idą za ludźmi opętanymi nienawiścią ku Polsce i nie cofającymi się nawet przed zbrodnią, byle Polakom dokuczyć; są między nimi i tacy, jak słynny pieśniarz ruski, który śpiewa:

Boże, szczoś rusku zemlu wziaw w opiku,
Koły ju horda barbariw zhnetała,
I z Polszczu, Łytwu złuczyw ju wid wiku,
By z nymi wilnost' boronyty stała;
Tu pred Twij wiwtar szłem naszu mołytwu,
Za wspilnu matier Polszczu, Ruś i Łytwu.

Ostap.



WAWEL.

Wawel... Czy król siadł w koronie,
A w koło szlachta, rycerze?
Szablice, przeróżne bronie
I zbroic błyszczą pancerze...

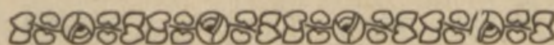
Ochota, gwarno, wesoło...
Wino nalane w kruże,
Dam cudnych wieńce w około,
Nie wiedzieć lilje, czy róże.

W podworcu tuman, jak chmura,
Rycerze w zbroi, turnieje...
Złoto, dyamenty, purpura...
Czy to świt nowy, czy dnieje?

Lecz Wawel cichy, tylko nietoperze
Skrzydłami głucho trzepocą...
To nie król, to nie rycerze...
Wyobraźni widma kroczą...

O stare, stare to dzieje...
Wspaniała wielkość się marzy...
Zwycięstwa, walki, turnieje,
Szeregi promiennych twarzy...

Lecz Wawel cichy... tu dziś nietoperze...
Wciąż ciemno, jeszcze nie dnieje,
Był król w koronie, byli rycerze,
Dziś mamy tylko nadzieję...



Ale naród niech pamięta...

O Polsko święta! bądź dumna i mężna
W oczy twych wrogów spoglądaj zuchwale,
Oni upadną, ty znowu potężna
I świetna wstaniesz w blaskach i we chwale,
Ale naród niech pamięta...

Ale naród niech pamięta
Na te krwawe swoje krzyże,
Na te walki, swoje święta
I niech wrogom stóp nie liże.

Ale naród niech pamięta,
Że nie zginie jeśli dumny,
Że przemocą nikt nie spęta
Ani złoży go do trumny!...

Ale narod niech pamięta
Na te wielkie swoje hasła,
Że Ojczyzna to rzecz święta
Żeby miłość w nim nie gasła!...

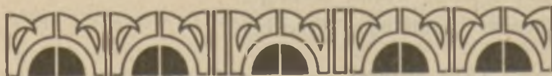
Ale naród niech pamięta,
Nie trzba szukać czczych wawrzynów,
Droga inna nam wytknięta,
Mniej słów pustych, więcej czynów!

Ale naród niech pamięta
O tych, co dziś w pocie, trudzie,
Że w nich siła niepojęta,
Że zbawienie leży w ludzie.

Ale naród niech pamięta,
Że do kajdan nie był zdolny.
Że choć droga ciężka, kręta,
Kto czci wolność, będzie wolny!

Ale naród niech pamięta...

Julian Borkiewicz.



O czem zapominają nasze spółki współdzielcze?

Każdym razem, gdy słyszę o rozwiązaniu jakiejś spółki współdzielczej, lub gdy widzę spółkę, która zamiast rozwijać się i rosnąć, ledwie wiedzie nędzny swój żywot, przypomina się znana opowieść o pewnym chłopcu okrętowym.

Gdy chłopiec ten po raz pierwszy wdrapywał się na wielki maszt okrętu i nie słuchając rad i przestróg swych przyjaciół patrzał bezustanie pod nogi, nagle uczuł zawrót głowy.

Upadek chłopca w fale oceanu wydawał się zgrozą przejętym widzom niechybny. Już, już miał puścić drabinę, gdy przytomny kapitan, porwawszy trąbę, krzyknął: „patrz w górę, a nie upadniesz!“.

Chłopiec został wyratowany!

Ten chłopak, wdrapujący się w górę, ale uparcie patrzący w dół, przypomina mi właśnie zrzeszenie współdzielcze, którego członkowie idą niby z postępem, t. j. ku górze, gdyż spółka zaprowadza lepszy ład na ziemi, ale po drodze tak się zapatrzyli pod swoje nogi, czyli po za materyalnym zyskiem innego celu spółki nie widzą, iż zapomnieli dokąd dążą, jaka gwiazda u celu ich wędrówki świeci.

Nieszczęśni i im grozi runięcie w przepaść!

Nie można się wcale nawet dziwić, iż w tych warunkach spółki jedna po drugiej, również prędko jak powstawały, tak teraz giną.

Zważmy bowiem, że praca w zarządzie spółki wymaga pisania listów, prowadzenia ksiąg rachunkowych i innych biurowych czynności, które dla ludzi nieprzyzwyczajonych, a dzień cały pracujących bardzo są uciążliwe.

Nietylko jednak na zarząd spółki ale i na każdego jej członka spadają pewne obowiązki.

Należenie do spółki wymaga od niego, by przychodził na zebrania właśnie może wtedy, gdyby wolał spać się położyć, lub rozerwać; wymaga dalej, by za zakupy płacił gotówką, co choć jest w gruncie rzeczy dobrodziejstwem dla kupującego, jednak nieraz wydaje się uciążliwem; wymaga dalej, by wszystkie zakupy czynił w sklepiku stowarzyszenia, choć sklepik daleko, a słota na dworze.

Jednem słowem należenie do spółki wymaga pewnej pracy nad sobą dla przezwyciężenia swego wrodzonego lenistwa i dawnych przyzwyczajeń.

Zapytajmy teraz, co człowiek natomiast zyska należąc do spółki? Oczywiście, że zyskuje bardzo wiele: wie, iż nabyte produkty są w dobrym gatunku, rzetelnie odmierzone, wie, że nikt nie czyha, by go oszukać i nawet jeśli odrazu drożej zapłaci niż towary warte, to te pieniądze wrócą mu się w końcu roku, gdyż całkowity dochód jest po sprawiedliwości pomiędzy spożywców rozdzielany.

Ta bezsprzeczna korzyść materyalna czyni właśnie należenie do spółki tak ponętnem i nie można się dziwić, iż wśród ogólnej niezamożności ludzie się do nich zbyt lekkomyślnie garną, jak muchy do miodu.

Ale jest jedna stara jak świat prawda, mianowicie ta, że człowiek nie jednym chlebem żyje, czyli, że przez to tylko, iż jest w dostatku nie jest jeszcze szczęśliwy. Dla szczęścia człowieka potrzebna jest, by pracował nietylko dla swego i swojej rodziny żołądka, lecz by życiu jego przyświecał wznioślejszy jakiś cel — to jest, żeby pracował dla dobra bliźnich. Że słowa te nie zawierają przesady,

możemy się przekonać patrząc na tak wielu bogaczy, którym zdaje się na niczem nie zbywa, a pomimo to nie mają zadowolenia w życiu.

Właśnie dlatego, że poprawa materyalnych warunków bytu nie jest nieodzownym warunkiem szczęścia, faktem jest, iż człowiek nie jest w stanie się na długo i trwale zapalić do ruchu, który miałby wyłącznie te ostatnie na celu.

Dlatego to ci ludzie, którzy w mnożeniu się swego dobrobytu jedyny cel spółki widzą, prędzej czy później ostygają w zapale, bodziec ten nie wystarcza do podtrzymania ich energii i spółka ginie.

Spółka taka ma ciało w formie pewnego kapitału, ale brak jej duszy, brak jej wiary, a taka — trudnościom napotykanym się nie ostoi.

W rzeczywistości jednak cel zrzeszeń współdzielczych jest głęboki i szlachetny, tak, że wobec niego towarzyszące mu podniesienie dobrobytu stowarzyszonych, jakkolwiek jest objawem ważnym i dodatnim, maluczkim dodatkiem się tylko wydaje.

Robotnicy amerykańscy lepiej zrozumieli doniosłość zrzeszeń i stowarzyszenie swoje nazwali: „Świętym zakonem rycerzy pracy“. Stowarzyszenie to założone przed 19 laty przez pewnego szewca, liczy dziś 500.000 członków.

Miałam się też sposobność przekonać w czasie tegorocznego mego pobytu w Anglii, iż tam wiara w stowarzyszenia współdzielcze jest wielka i że wielu najlepszych i najrozumniejszych Anglików ruchowi temu swe siły poświęca.

Trudno jest odgadnąć z razu co ludzie ci widzą wielkiego i idealnego w tych na pozór tak prostych i powszednich czynnościach wspólnego wytwarzania towarów, lub ich hurtownego sprowadzania, kupowania i rozdzielania się następnie zyskami.

Żeby to zrozumieć, musimy sięgnąć dalej i zastanowić się nad jądrem dzisiejszej, tak zwanej kwestyi socyalnej, która sprawia, że bogactwo jednych idzie w parze z nędzą, niewolnictwem i gwałtem drugich.

Oczywiście, że główna część zła tkwi w samej naturze ludzkiej: w jej nieokiełzanem samolubstwie, rządzy bogactwa i władzy, skłonności do próżniactwa i bezgranicznej słabości.

To też każda reforma społeczna, jeśli równocześnie nie zmierza do uszlachetnienia duszy ludzkiej i wyrobienia charakterów, jest płonna. Czy myślicie, że gdyby dzięki jakimś cudownym zbiegom okoliczności dzisiejsze klasy wyzyskiwane nagle dostały się do władania bogactwem, czy myślicie, że ludzie ci pamiętaliby gorycz swej wczorajszej niedoli i nie występowali teraz w roli wyzyskiwaczy?

O ile jednak stwierdziliśmy, że jądro zła tkwi w naturze ludzkiej, bylibyśmy niesprawiedliwi, gdybyśmy nie przyznali, iż ustrój społeczny taki, jaki jest dzisiaj, jest nadzwyczaj podatnym gruntem dla niebywałego rozrostu tego chwastu duszy ludzkiej.

Aż za dobrze wiadomo bowiem, że nędza, brak oświaty, brak szlachetnych rozrywek w życiu, co każe szukać chwilowego zapomnienia w wódce — są matką zbrodni i występków.

Ale częstokroć nie myśli się o tem, że ustrój dzisiejszy oparty jest na zasadzie współzawodnictwa, czyli tak zwanej „wolnej konkurencyi“, a ta zasada właśnie zatruwa duszę ludzką i nie daje żyć po bratersku.

Jeżeli zastanowimy się nad tem, czem jest „współzawodnictwo“, to nie znajdziemy chyba innej odpowiedzi nad tę, że jest to „wywyższanie siebie samego ze szkodą bliźniego“.

Jakże więc pogodzić zasadę chrześcijańską, która głosi o miłości bliźniego z zasadą współzawodnictwa, która mówi: „Aby żyć musisz mniej lub więcej szkodzić swemu bliźniego“. (Dok. n.).



PIENIĄDZE SIEROT.

Nie ma zaiste większej krzywdy nad zabranie chociażby grosza jednego sierotom albo wdowom. A trafia się to przecież często. Nieraz ten lub ów, niby opiekun sierót, czy przyjaciel, załatwia niejedną sprawę, a nie uważa, czy to nie z krzywdą. Sprzeda zboża korzec i myśli, że to nie szkodzi, jeśli sobie weźmie parę groszy za fatygę, a powie, że mniej wziął. Sieje gospodarz na sierocej niwie, sądzi, że to nie szkodzi, jeśli da gorsze ziarno, albo mniej dobrze zaorze tę ziemię? „I tak dobrze, że tyle zrobię“, myśli sobie, „inni i tyle o sieroty nie dbają“.

I tak nie raz jeden weźmie się grosz lub dwa, a i to grzech, bo i to krzywda.

Przytoczymy tu właśnie przykład z historyi naszej, jak u nas pieniądze sierot były szanowane.

Było to w roku 1809, w tym czasie, kiedy eszcze raz próbowali Polacy odzyskać kraj swój, od Boga im dany na własność. Wojskiem polskiem wtedy dowodził książę Józef Poniatowski. Był to rycerz dzielny, a Polak szlachetny.

Stał z wojskiem swojem w Krakowie i czekał na dalsze rozkazy cesarza francuskiego Napoleona, który obiecał Polakom pomagać do odebrania własnego kraju.

Do księcia Józefa Poniatowskiego przyszedł jeden z panów polskich i dziwił się, iż go zastał smutnym.

— Czemuś tak smutny? — pyta go.

— A! — odpowiada książę Poniatowski — mam 30 tysięcy wojska, a brak mi pieniędzy na utrzymanie go, co zrobię, skąd wezmę zaraz, nim kraj mi zbierze.

— Ja ci poradzę – rzekł ów magnat — w sądzie w depozytach jest dwa miliony złotych, pożycz je teraz, potem kraj odda.

— A czyje to pieniądze?

— Sierot, wdów, złożone do sądu do pełnoletności.

Książę Józef załamał ręce, zbladł, a chwytając przyjaciela za dłoń, mówił:

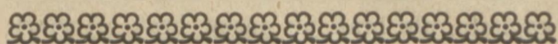
— I ty mnie do tego namawiasz? ty, mój przyjacielu, radzisz mi wziąć pieniądze sierot, czy wiesz, że to krzywda?

— Ależ kraj odda, wszak pożyczysz i nie dla siebie, tylko dla kraju.

— Nie! nie zrobię tego, sierot grosz każdy święty, nie wolno go brać. Któż wie, może nam się nie poszczęści, stracimy, a skąd oddamy?

I nie wziął. – Wtedy Badeni z hr. Wodzickim i księciem Lubomirskim, na hipotekę na swój majątek, pożyczyli te pieniądze, a potem rzeczywiście z własnego majątku oddali.

Tak to należy szanować grosz sierot. Tak to u nas dawniej w Polsce byli ludzie dobrzy i szlachetni.



POŻEGNANIE Z MIASTEM.

Żegnaj miasto! Bywaj zdrowe!
Dziś opuszczam twoje progi,
Tam gdzie runie lśnią majowe,
Tam mnie czeka spokój błogi.

Prawda, w mieście kamienice,
Piękne, duże stoją w rzędzie,
Schludne dzielą je ulice,
Ruch, wystawę widać wszędzie.

Lecz z radością dzisiaj piszę...
Miasto! tobie pożegnanie,
Bo nie długo w sielskiej ciszy,
Inne życie mi nastanie.

Pierzchnie hałas, ścisk i wrzawa,
Blichtr, co złotem lśni z daleka,
A to źródło, co napawa,
Pierś rozkoszą, na wsi czeka.

Pójdę w lasek, pójdę w pole
Gdzie mi ptak zaśpiewa luby,
I przypomnę co mnie boli,
I obliczę ducha zguby.

Nikt nie przerwie mi dumania,
Nie podsłyszy nikt wzdychania,
Nie zamąci leśnej ciszy,
Gdzie się właśnie serce słyszy.

Żegnaj miasto! Jechać muszę,
Spragnion uciech czystej czary,
Lecz gdy wrócę w twe obszary,
Wszystkich skarbów nie bierz z duszy!

Julian Ł.



SŁOŃCE i PLANETY.

II.

Nasza ziemia jest trzecią z rzędu planetą w systemie słonecznym. Badania ziemi są stosunkowo bardzo łatwe, gdyż o wszystkiem możemy się łatwym sposobem naocznie przekonać, podczas gdy wszelkie wiadomości o planetach i gwiazdach zawdzięczamy żmudnym obrachunkom i narzędziom astronomicznym. Pomimo to do roku 1543 nie wiedziano, że ziemia krąży około słońca, również w tym dopiero czasie przekonano się, że ziemia jest okrągłą. W roku 1522 słynny marynarz Ferdynand Magelan odbył pierwszą podróż dookoła ziemi i tem samem dowiódł jej kulistości.

Ziemia, jak wszystkie zresztą ciała niebieskie, jest kulą, której obwód wynosi 5.400 mil. Przy opisaniu słońca mówiliśmy już o tym, że wszelkie światło i ciepło odbieramy od słońca. Tam też omówiliśmy znaczenie słońca dla ziemi, która byłaby zimną lodowatą bryłą, niezamieszkaną i bez wszelkiego życia, gdyby nie dobroczynne promienie światła i ciepła, jakie nam słońce dostarcza.

Kula ziemska obraca się około swej osi w przeciągu 24 godzin, z tego też powodu oświeca słońce przez 12 godzin jedną połowę a przez 12 godzin drugą połowę ziemi. Ta połowa, na którą słońce świeci, ma dzień, druga zaś będąca w cieniu ma noc.

Kiedy u nas jest południe, to na Syberyi ludzie kończą już pracę i udają się na spoczynek, w Ameryce zaś śpią jeszcze lub wstają do pracy. Tak więc dzień i noc istnieją z powodu obracania się ziemi około swej osi. Ale oś ta nie stoi równolegle do osi kuli słonecznej jak np. dwa sznurki pionu murarskiego.

Oś ziemska względem osi słońca jest nieco nachylona, co wywołuje wielkie skutki na powierzchni ziemskiej. Owo nachylenie sprawia, że raz półkula południowa, na której leżą Brazylia, Afryka, Australia i Ameryka południowa, jest więcej ogrzaną, drugi raz północna półkula z Europą, Azyą i północną Ameryką, otrzymuje więcej ciepła, jak południowa.

Gdy na południowej półkuli mamy zimę, to na północnej, czyli u nas, panuje lato; gdy zaś mamy zimę, tam panują letnie skwary. Przez owo skośne położenie osi, widzimy słońce w zimie niżej, w lecie wyżej na niebie, w zimie świeci nam parę godzin, podczas lata ogrzewa nas przez 17 godzin.

Jeszcze na jeden ciekawy szczegół pragnę zwrócić uwagę. Mianowicie ziemia okrążając słońce, opisuje swą drogą koło, ale niezupełnie regularne. Takie koło nieco wydłużone nazywa się elipsą. Do tego słońce nie leży zupełnie w środku, lecz trochę bliżej jednej strony owego wydłużonego koła. To sprawia, że ziemia w styczniu jest bliżej słońca, niż w lipcu. Może niejeden to zauważył, że tarcza słoneczna jest w zimie nieco większa. Dlaczego pomimo zbliżenia się do tego ognistego pieca mamy zimniej niż w lipcu? Bo słońce jest w lecie wyżej, czyli promienie padają prostopadlej, w zimie słońce jest niżej (wskutek nachylenia osi) a promienie padają ukośno. Ponieważ w styczniu ziemia jest bliżej słońca, a w miesiącu tym przypada lato na południowej półkuli, mają południowe kraje lata o wiele cieplejsze od naszych.

Odległość ziemi od słońca wynosi w lipcu 21 milionów mil, w styczniu 19 milionów mil. Przyjmuje się jednak zwykle średnią odległość 20 milionów mil. Kula armatnia, gdyby ustawicznie biegła z równą szybkością, odległość tę przebyłaby w 24 latach, pociąg pospieszny potrzebowałby 350 lat.

Opisując poprzednie planety wspomnieliśmy, że astronomowie badają uważnie powierzchnię ich t. j. starają się poznać ich lądy, morza, góry i t. p. Opisy ziemi są pod tym względem o wiele szczęśliwsze. Kto tylko spojrzy na mapę ziemi zauważy natychmiast, że morza zawierają o wiele większy obszar,

niż ląd suchy. Mórz jest 3 razy tyle, co lądów. Kto jechał okrętem z Europy do Ameryki, ten wie, jak wielkiem jest owo morze zwane Oceanem Atlantyckim, jeszcze większym jest Ocean Spokojny leżący z drugiej strony Ameryki, między Kalifornią a Japonią. Między Azyą, Afryką i Australią leży Ocean Indyjski, zaś na północ od Szwecyi mamy Ocean Lodowaty północny, na południe od Afryki Ocean Lodowaty południowy. Prócz tego mamy cały szereg mórz jak: Śródziemne, Bałtyckie, Czarne, Czerwone i t. d.

Z lądów największą jest Azya, która jest cztery razy większą od Europy, potem idzie Ameryka, Afryka; tylko Australia jest trochę mniejszą od naszej części świata.

Na wszystkich tych lądach i we wszystkich morzach wre życie, przejawiające się w najrozmaitszych formach. Zwierzęta i rośliny, które u nas żyją, nie wszystkie znane są gdzieindziej. W gorących krajach żyje lew, tygrys, słoń, nosorożec, krokodyl, żyrafa i różne małpy. Australia ma ciekawe kangury i dziobaki; w północnych krajach żyją białe niedźwiedzie, lisy, wilki, foki, wieloryby. Oprócz zwierząt ssących mamy tysiące gatunków ptaków, ryb, gadów, płazów, owadów i wiele niżej jeszcze uorganizowanych zwierząt. A jaka rozmaitość panuje w świecie roślinnym, począwszy od mchem porosłych obszarów podbiegunowych do ślicznych palm i dziewiczych lasów skwarnego południa. Nawet człowiek zależnie od zamieszkania wykazuje wielkie różnice. Każdą prawie część świata zamieszkuje inna rasa ludzka. W Afryce mamy murzynów, w Azyi żółtych i skośnookich Mongołów, w Ameryce resztki wytępionych czerwonoskórych Indyan, na wyspach australskich bronzowy żeglarski lud Malajów. Grenlandyę zamieszkują Eskimosi, zaś rasa biała zajęła Europę, część Azyi i coraz więcej wypiera inne rasy w Ameryce, Afryce i Australii.

Widzimy tedy, jak wielką jest rozmaitość życia i jak to życie jest powszechne, niema bowiem piędzi ziemi, cząstki powietrza, ani kropli wody, aby nie wrzało w nich życie.

A przecie ziemia jest tylko jedną z mniejszych planet. I jeżeli przy opisie ziemi wspominaliśmy o różnych formach życia ziemskiego, to dlatego, by zwrócić uwagę, że ziemia ta marna bryłka we wszechświecie uprzywiljowaną być nie może, że na innych planetach życie prawdopodobnie istnieje, że inne planety nie mogą być marnemi, bezżyciowemi planetami, że i tam na nich pewnie życie istnieje, różne może od ziemskiego, jak różnie ono i u nas się przedstawia, zależnie od warunków klimatycznych pewnej części świata.

A teraz czas, byśmy się zajęli jedynym synem, jakiego ziemia posiada t. j. księżycem. Dwie poprzednie planety Merkury i Wenus nie posiadają wcale księżyców, ziemia ma jeden, inne planety jak: Mars, Jowisz, Saturn, mają ich nawet po kilka.

Nasz księżyc będący 49 razy mniejszy od ziemi, jest od niej na 51 tysięcy mil oddalony. Że nam się wydaje tak duży jak słońce, powodem tego jego blizkość. Własnego światła także nie posiada, świeci więc światłem otrzymanem od słońca. które odbiwszy się od księżycowej powierzchni pada na naszą ziemię. Tak więc w pogodną noc księżyc bynajmniej nie świeci, lecz niejako pośredniczy i posyła nam promienie światła, które nań ze słońca padają.

Ziemię okrąża w 27 dniach i przez ten czas raz się około swej osi obróci, czyli że księżyc jest zawsze jedną i tą samą stroną zwrócony ku ziemi. Każdy zauważył ciemne i jaśniejsze plamy na powierzchni księżyca, niektórzy nazwali to oczami, nosem i ustami, są to tylko nierówności powierzchni. Ciemne miejsca to doliny i cienie, takie jakie góry oświetlone przez słońce, poza siebie rzucają; jaśniejsze miejsca to wyżyny i pasma górskie, jakie się na księżycu obficie znajdują. Powietrza księżyc nie posiada, prawdopodobnie też żadne życie tam nie istnieje. Księżyc należy do ciał niebieskich, które przeszły już czas swego rozwoju i znajdują się w starczym stanie.

Najważniejszemi zjawiskami są zmiany czyli fazy i zaćmienia księżyca. Pomówimy o każdem z osobna. Wiemy, że księżyc okrąża ziemię, przeto raz staje między ziemią a słońcem. to znowu za ziemią lub przy jej bokach. Jeżeli się za ziemią znajduje, to zwraca się ku nam swą pełno oświetloną tarczą i mówimy wtedy, że księżyc jest w pełni. Ziemia znajduje się wtedy między słońcem a księżycem. Słońce zachodzi na zachodniem niebie, a księżyc wschodzi na wschodzie. Chociaż słońce oświetla całą połowę księżyca, to podczas kwadry tak jest księżyc względem ziemi ustawiony, że widzimy tylko część tego oświetlenia w postaci rożka. Gdy znowu księżyc w obiegu swoim dookoła ziemi stanie między ziemią a słońcem. wówczas księżyca zupełnie nie widzimy, bo zwrócony jest on do nas tą stroną. na której panuje noc. Nazywamy to nowiem. Na nowiu zdarzają się zaćmienia słońca. Bo jak powiedzieliśmy, wówczas księżyc jest między ziemią a słońcem, łatwo tedy może nam księżyc zakryć część lub całe słońce. Podczas pełni, gdy ziemia jest między słońcem a księżycem, może ziemia zająć takie stanowisko, że rzuci swój cień na księżyc.

Ciemne ludy Azyi i Afryki podczas zaćmień uderzają w bębny, piszczą na piszczałkach, wrzeszczą przeraźliwie, aby w ten sposób odstraszyć owego smoka czy złego ducha, który według ich mniemań słońce czy księżyc zasłonił.

Zjawiska te są jednak tylko koniecznym wynikiem biegu ciał niebieskich; niestety są jeszcze i u nas ludzie, którzy w zaćmieniach widzą zapowiedź powodzi, głodu, nieurodzaju i t. p. klęsk.

Pomimo swej małości wywiera księżyc dość znaczny wpływ na ziemię. Wspomnimy tu bodaj o jednym. Kto był nad brzegiem morza, ten zauważył, że poziom wody morskiej u brzegu co parę godzin się zmienia, to się podnosi, to znów opada. Łatwo przekonali się ludzie, że te odpływy i przypływy morza mają ścisły związek z ruchami księżyca i są dziełem jego wpływu na ziemię.



LEGENDA ŻEGLARSKA.

Był okręt, który zwał się Purpura, tak wielki i silny, że się nie bał wichrów, ani bałwanów, choćby najstraszniejszych.

I płynął ciągle z rozpiętymi żaglami, wspinał się na spiętrzone wały i płynął w dal, z żaglami w słońcu, tak szybko, że aż piana warczała mu po bokach, a za nim ciągnęła się szeroka i długa droga świetlista.

— To pyszny statek; – mówili żeglarze z innych okrętów.

A czasem pytali załogę Purpury:

— Hej, ludzie! dokąd jedziecie?

— Dokąd wiatr wieje! — odpowiadali majtkowie.

— Ostrożnie! tam wichry i skały!

W odpowiedzi na przestrogę, wiatr tylko odnosił słowa pieśni tak szumnej, jak burza sama:

„Wesoło płyńmy, wesoło!“

Szczęśliwe było życie załogi na tym statku Majtkowie, zaufani w jego wielkość i dzielność, drwili z niebezpieczeństw. Sroga panowała karność na innych okrętach, ale na Purpurze, każdy robił, co chciał.

Życie tam było ustawicznem świętem. Szczęśliwie przebyte burze i pokruszone skały, zwiększały jeszcze zaufanie. Nie ma — mówiono — takich raf ni takich burz, któreby Purpurę rozbić mogły. Niech huragan przewraca morze — Purpura popłynie dalej

I Purpura płynęła istotnie — dumna wspaniała.

Przechodziły lata całe, a ona — nietylko sama zdawała się być niezłomną, ale ratowała jeszcze inne statki i przygarniała rozbitków na swój pokład.

Ślepa wiara w jej siłę zwiększała się z dniem każdym w sercach załogi. Żeglarze zleniwieli w szczęściu i zapomnieli sztuki żeglarskiej. Purpura sama popłynie — mó-

wili. — Poco pracować, poco baczyć na statek, pilnować steru, masztów, żagli, lin? poco żyć w trudzie i pocie czoła, gdy statek, jak bóstwo nieśmiertelny?

„Wesoło płyńmy, wesoło“.

I płynęli jeszcze długie lata. Aż wreszcie z upływem czasu załoga zniewieściała, zaniedbała obowiązków i nikt nie wiedział, że statek począł się psuć. Słona woda przeżerała belki, potężne wiązania rozluźniły się, fale poodzierały burty, maszty spróchniały, a żagle zetliły się na powietrzu.

Wszelako głosy rozsądku poczęły się podnosić:

— Strzeżcie się! — mówili niektórzy majtkowie

— Nic to! płyniemy z falą! — odpowiada większość marynarzy.

Tymczasem pewnego razu wybuchła taka burza, jakiej dotychczas nie bywało na morzu. Wichry zmieszały ocean z chmurami w jeden piekielny zamęt. Wstały słupy wodne i leciały z hukiem na Purpurę, straszne, spienione, wrzące. Dopadłszy statku, wpiły go aż na dno morza, potem rzuciły ku chmurom, potem zwaliły znów na dno. Pękły zwątlałe wiązania statku, i nagle krzyk straszny rozległ się na pokładzie:

— Purpura tonie!

I Purpura tonęła naprawdę, a załoga, odwykła od trudów i żeglugi, nie wiedziała, jak ją ratować!

Lecz po pierwszej chwili przerażenia, wściekłość zawrzała w sercaah, bo kochali jednak swój statek ci marynarze.

Więc zerwali się wszyscy i poczęli bić z dział do wichrów i fal spienionych, a potem chwyciwszy, co kto miał pod ręką, poczęli chłostać morze, które chciało zatopić Purpurę.

Lecz fale były silniejsze od żeglarzy. Działa zalane umilkły. Olbrzymie wiry porwały wielu walczących i uniosły w odmęt wodny. Załoga zmniejszała się z każdą chwilą — ale walczyła jeszcze. Zalani, na wpół oślepli, pokryci górą pian, żeglarze walczyli do upadłego.

Chwilami sił im brakło, ale po krótkim spoczynku znów zrywali się do walki. Nakoniec ręce im opadły. Poczuli, że śmierć nadchodzi.

I nastała chwila głuchej rozpaczy. I spoglądali na się ci żeglarze, jak obłąkani.

Wtem te same głosy, które poprzednio ostrzegały już o niebezpieczeństwie, podniosły się znowu, silniejsze, tak silne, że ryk fal nie mógł ich zagłuszyć.

Głosy te mówiły:

— O zaślepieni! Nie z dział wam bić do burzy, nie fale wam chłostać, ale statek naprawić! Zstąpcie na dno. Tam pracujcie. Purpura jeszcze nie zginęła!

Na owe słowa drgnęli ci nawpół umarli i rzucili się wszyscy na spód i rozpoczęli pracę od spodu.

I pracowali od rana do nocy, w trudzie i pocie czoła, chcąc dawną bezczynność i zaślepienie wynagrodzić.

Henryk Sienkiewicz.



DO OJCZYZNY!

Ziemio Polska, Matko droga!
Czemuż na tym ziemskim globie
Tak lichy dział przypadł Tobie
Że tak dola twoja sroga?
Że rozdarta w trzy kawały
Pod stopami najezdników,
Dźwigasz pęta niewolników
Obdarta z Twej dawnej chwały!...
A w świetności Twojej szczątki
Pozostałe z ruin złomy
Biją strasznych nieszczęść gromy
Bez przestanku, przez wiek cały,
By nie stało z nich pamiątki!...
Czemuż Polsko twoje łany
Wytaczają obcych roje
Choć ci bluźnią imię Twoje

I jad sączą w twoje rany?...
A twej mowy głuchną dźwięki
Ścichły pieśni twego ludu
Zewsząd słychać tylko jęki
Z pod rzemienia klęsk i trudy!!
Czemu zawsze z każdej strony
Dolatuje jęk boleści?...
Tam kościoły wróg bezcześci
I krzyż Pański powalony,
Tam znów wrogie obce plemię
Wydziera twym dzieciom ziemię
A, gdzie niema mściwych wrogów
Gna lud nędza z jego progów.
Czemu Polsko Twoje wody
Zda się płyną tylko łzami?
Czemu tak źle? — Biada z nami
Bo nie było — niema zgody!...
Biada Tobie Polsko biada
Bo wciąż górą fałsz i zdrada,
Bo na przodzie samoluby —
Niezgoda wciąż dzieli braci
Błądzim oślep w cieniu zguby
Myślą, duchem karłowaci!...
Niema niema wśród nas komu
Świecić tak jasnym przykładem,
By iść wszystkim jego śladem
Służyć tobie wśród pogromu.
Zewsząd tylko jakby w trwodze
Coraz nowe słychać głosy,
Coraz nowe wstają wodze
Co im pycha serca bodzie
I wraz głoszą „Słysz narodzie“.
Tylko „ja“ twe zbawię losy!!
— Inni znowu krzyczą „Lodu“ —
Tylko zimna, tylko chłodu
Lód lekarstwem dla narodu!...
Zamęt tylko i niesnaski,
Rozbieglim się w różne strony
Brak nam widać Bożej łaski
By się skupić do obrony,
To też smutek serce ściska
Gdy zła tyle tak dociska
A odmiana gdzieś daleka!...

* * *

Precz jednak myśli ponure.
Myśli w górę! Serca w górę!
Jeszcześ Polsko nie zginęła
I w potopie tym nie zginiesz
Choćbyś się w łzy rozpłynęła
Przez łzy czyste znów wypłyniesz
Strojna w blaski i purpurę...
Przez Królowy twej przyczynę
Bóg nam zginąć nie pozwoli;
Lecz na czarną tę godzinę
Doda hartu — silnej woli —
Aż jednością nas zespoli
Naród cały — jak rodzinę —
Zmartwychwstania dzwon uderzy
I wśród gromów i błyskawic
Milion się wzniesie prawic
Świętej sprawy twej szermierzy,
Których hasło „Miłość“ strwoży
Wrogów — bo zstąpi Duch Boży!
I wielmożni zrzucą pychę —
„Lud podźwignie ze snu głowę“
I rozpoczniem zgodne, ciche
Wspólnej pracy — Życie nowe!
„Wstanie olbrzym! lud twój prosty“
Co za wodzem twym w sukmanie
Na armaty leciał boso
Z zamaszystą w ręku kosą
I na twoim Polsko łanie
„Zniszczy chwasty — wytnie osty!...“
Więc w tej strasznej burz zawiei
Choć się spiętrza mściwość wroga,
Wytrwaj Polsko w tej nadziei,
Że dopokąd w niebie Boga
A na ziemi na twym łanie
Ludu, który szczerze wierzy,
Choć straszniejsza burza wstanie
I tysiąc gromów uderzy,
Ty powstaniesz jeszcze cała
Wolna, wielka i wspaniała!...

Włościanin ze Szczepanowa.



WIEŚCI ZE ŚWIATA.

Krwawy napad na Polaków w Cieszynie.

W Cieszynie panuje zupełny bezrząd. Rozpasanie Prusom sprzyjających żywiołów, podsycanych i pielęgnowanych troskliwie w szkołach niemieckich, przy współudziale zarządu miasta i miejscowego starosty, doszło do takiego rozwydrzenia, że Polacy nie są tu pewni życia. Sceny brutalnego napadu, którego ofiarą w Cieszynie padła ludność polska w niedzielę, świadczą już nie o jakiemś niedbalstwie władz bezpieczeństwa publicznego w tem mieście, lecz o rozmyślnej, ciągłej czynności zarządu miasta i władzy politycznej, skierowanej przeciw ludności polskiej. Bo nie był to jakiś nadzwyczajny wypadek, lecz dalszy ciąg metody, zaczętej przez uczniów szkół niemieckich i burszów w dniu 3 maja, gdy napadali na studentów polskich, opatrzonychodznakami narodowemi.

Krwawe zajście, którego widownią był Cieszyn w niedzielę 28 b. m., przedstawia się, wedle nadesłanych nam z wiarygodnej strony wiadomości, w sposób następujący:

Poświęcenie sztandaru.

W niedzielę rano odbyło się o godzinie 11 rano w kościele farnym poświęcenie sztandaru polskiej młodzieży rękodzielniczej, przy udziale delegatów towarzystw rękodzielniczych z całego Śląska i Kółka kontuszowego z Krakowa. Matką chrzestną była p. Winkowska, której małżonek był poprzednio dyrektorem polskiego gimnazyum w Cieszynie. Po tej uroczystości zebrali się uczestnicy w polskim Domu Narodowym, gdzie oczekiwali już ich przybycia liczni zaproszeni goście z Krakowa (członkowie „Zjednoczenia“) i z Królestwa. — Tutaj też odbył się wspólny obiad. Aż dotąd nie zakłócili Niemcy porządku.

Zasadzka na Polaków.

Stosownie do programu, miał po południu odbyć się festyn na Grabinach. To też po obiedzie zebrali się uczestnicy uroczystości przed lokalem Związku robotniczego, skąd przy dźwiękach muzyki ruszył długi pochód. Na czele jechał przewodnik pochodu na koniu, za nim postępował chorąży z świeżo poświęconym sztandarem rękodzielniczym. Zaledwie pochód wszedł w wązką uliczkę, przy której znajduje się dom niemieckiego Nordmarku, odezwały się głośne, ironiczne okrzyki „Heil“ w odpowiedzi na śpiewaną w pochodzie pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła!“

Było to koło godziny 3 po południu. Cała ulica wypełniona była tłumami Niemców, przez które pochód musiał torować sobie drogę. Polacy znaleźli się w zasadzce. Jak się później pokazało, Niemcy wydali hasło „Deutsches Haus, alles heraus, sammeln sich 2 Uhr“. Okna dwupiętrowej kamienicy Nordmarku obsadzone były przeważnie Niemkami. W chwili, gdy pochód podszedł pod tę kamienicę, padła z pierwszego, czy toż drugiego piętra bomba, zdaje się rzucona przez jednę z kobiet niemieckich. Bomba upadła między konnym przewodnikiem i chorążym. Koń spłoszył się, a chorąży, ugodzony odłamkiem bomby w rękę, upuścił sztandar, który nieść musiał kto inny. W tej chwili posypał się na pochód polski ze wszystkich stron grad kamieni, zgniłych jaj, petard z palącemi i cuchnącemi materyami (Stinkbomben). Niemki pluły na Polaków.

Wszczął się zamęt i piekielny hałas. Policya przypatrywała się obojętnie i zupełnie bezczynnie. Pomimo tej brutalnej i podstępnej napaści, uczestnicy pochodu przebili się naprzód i szli dalej odważnie ku t. zw. Saskiej Kępie. Tutaj znowu zaszedł pochodowi drogę tłum wyrostków niemieckich, złożony może z 200 osób, śpiewając „Wacht am Rhein“. Tłum ten starał się powstrzymać pochód, lecz ostatecznie pierzchnął, wi-

dząc pewną siebie postawę jego uczestników. Dopiero znalazłszy się w pewnej odległości, zaczęli Niemcy obrzucać pochód kamieniami. Wtedy to padł, ugodzony ciężkim kamieniem, sekretarz Macierzy, p. Marcinek.

Pochód podążał naprzód i dotarł wreszcie do Grabin, gdzie miał odbyć się festyn. Tutaj dopiero zdano sobie sprawę z tego, co zaszło. Ubrania na mężczyznach i kobietach były poniszczone cieczą z bomb i jajami, wielu z uczestników odniosło ciężkie obrażenia cielesne. Ks. poseł Londzin, który także od samego początku szedł w pochodzie, ugodzony został kamieniem.

Ponowne walki.

Z festynu podążali uczestnicy do miasta już nie razem, lecz grupami. W tem tkwił błąd wielki, gdyż przez to ułatwiono Niemcom nowe napady. Gromady niemców, przeważnie subjektów handlowych i studentów średnich szkół niemieckich, napadały na mniejsze grupy Polaków, które bezbronne były wobec przewagi przeciwnika. Ofiarą takiego brutalnego napadu padł profesor gimnazyum polskiego, p. Andrzej Jawień. Na rynku obskoczyła go gromada napastników, z których jeden uderzył go kijem. Prof. Jawień wezwał wtedy obok stojącego policyanta, aby aresztował napastnika. Policyant jednak z uśmiechem odwrócił się i polecenia nie spełnił. Ośmielona tem zgraja zbójów niemieckich obskoczyła prof. Jawienia i zaczęła go atakować. Prof. Jawień bronił się dłuższy czas ciupagą, którą zadawał bolesne ciosy przeciwnikom. To ich pobudzało do wściekłości. Zdołali wreszcie prof. Jawieniowi wyrwać ciupagę i obaliwszy go na ziemię, byliby go niechybnie zamordowali, gdyby nadchodzący Polacy nie byli ich spłoszyli. Prof. Jawień odniósł ciężkie rany na głowie, piersiach i szyi. Oblanego krwią, odprowadzono rannego do domu. Działo się to koło godz. 10 w nocy narynku cieszyńskim.

Utarczki po mieście trwały prawie do północy.

Ofiary bandytów niemieckich. Władze bezpieczeństwa.

Dom narodowy polski wypełniał się tymczasem rannymi. Zebrało się przeszło 20, nie licząc tych, którzy wprost udali się do domu.

Był to zatem zorganizowany, bandycki napad Niemców. Komitet, urządzający polską uroczystość, wiedział o zamiarach Niemców i uprzedził o tem starostę p. Jiraszka, który mimo to najspokojniej urządził sobie wycieczkę automobilem i przez cały dzień nie był w mieście obecny, zdając troskę o bezpieczeństwo publiczne na praktykanta konceptowego, p. Dolańskiego, Polaka, który zupełnie sytuacyi nie ocenił i żadnych środków zaradczych nie zarządził.

Dopiero wieczór wrócił p. Jiraszek z wycieczki, przybył do Domu narodowego i zaczął indagować rannych, zamiast urządzić pościg za zbójami niemieckimi.

Ks. Londzin, zebrawszy ze sobą skrwawione części ubrań, przedstawić postanowił w parlamencie obraz kultury niemiecko-hakatystycznej w Cieszynie.

Na telegram, wysłany do rządu krajowego w Opawie, przybył w poniedziałek prezydent kraju p. Coudenhove. Przez cały dzień nikogo jednak nie wezwał i nie przesłuchał, a ponieważ odbywa się uroczystość jubileuszu cesarskiego, połączona z zabawą dzieci, przeto niewiadomo, czy jedynie na zabawę przybył, czy też dla zbadania sprawy.

Nic też dziwnego, że wzburzenie wśród ludności polskiej jest ogromne, a kiedy w poniedziałek do budynku gimnazyum polskiego rzucono ze strony niemieckiej małą petardę, domagała się ludność polska zwołania formalnego wiecu krajowego, aby akcyę samopomocy wziąć mogła sama w ręce i stworzyć organizacyę silną i gwałt odeprzeć gwałtem, gdyby władze nadal znosiły spokojnie podobne wypadki.

Wiece w zaborze pruskim. Ludność polska gromadzi się w Poznańskiem, aby obmyśleć drogi ratunku wobec wymierzonych jej ciosów. Na wiec kobiet polskich w Poznańskiem przybyło 2.000 Polek, a na wiec w Katowicach 3.000 dzielnych Ślązaków. W Poznaniu przewodniczyła pani Władysława Niegolewska, wdowa po obrońcy praw polskich w Berlinie. Korzystając z czasu przedwyborczego, poprzedzającego naznaczone na dzień 3-go czerwca wybory do Sejmu pruskiego, a umożliwiającego według nowej ustawy odbywanie zebrań polskich nawet w okręgach, dotkniętych paragrafem 7, tej ustawy — ludność polska w zaborze pruskim wszędzie gromadzi się na wiecach, ażeby, dopóki czas jeszcze, pokrzepić się żywem słowem i obmyśleć drogi obrony i ratunku, wobec nowych, wymierzonych w jej byt, ciosów. Wśród mnóstwa wieców mniejszych, lokalnych i parafialnych, odbyły się między innemi dwa większe, z szerszym zakresem obrad, mianowicie wiec kobiet polskich w Poznaniu i wiec dla Górnego Śląska w Katowicach. W pierwszym wzięło udział przeszło 2.000 kobiet z Poznania i z prowincyi, w drugim około 3.000 dzielnych Ślązaków.

Wychowanie narodowe.

Przewodniczącą wiecu kobiet wybrano sędziwą panią Władysławową Niegolewską, wdowę po nieodżałowanej pamięci obrońcy praw polskich w Berlinie, a na jej zastępczynię panią dra Erzepkową z Poznania.

Pierwsza z referentek pani Anna Mielęcka z Katowic, mówiła o wychowaniu narodowem. Im większy ucisk — wywodziła referantka — tem więcej potrzeba nam hartu, tem więcej wytrwałości. Domu naszego nikt nie zdobędzie, jeżeli my kobiety strzedz go będziemy. Uczmy dzieci czytać i pisać po polsku, polskiego katechizmu, polskiej historyi i literatury. Niech nasze dzieci słyszą rozmowy starszych o naszych dziejach, o naszej literaturze. Ważnym czynnikiem wychowawczym jest także pieśń narodowa. Kobieta, chcąc sprostać swojemu zadaniu, powinna dążyć do coraz wyższego wykształcenia, aby stanąć na równi z mężczyznami. Nie traćmy nadziei. Naród nasz nie może być przeznaczony na zagładę.

Popieranie polskiego handlu.

Pani Adamowa Czarlińska z Zakrzewa omawia kwestyę popierania polskiego handlu i przemysłu przez kobiety polskie i takie dała współobywatelkom wskazówki i nauki: „Polkę nazwał Bismark najniebezpieczniejszym wrogiem niemczyzny, a jednak jest wiele Polek, które niczem nie stwierdzają swojej narodowości. Jedną z ważnych cnót narodowych, które pielęgnować należy, jest popieranie rodzimego handlu i przemysłu. Bardzo potrzebną nam jest także cnota oszczędności. Powinniśmy wystrzegać się kupowania rzeczy zbytkownych. Kobietom narodu uciśnionego nie przystoją wyszukane stroje. Rachunkowość, zdawanie sobie sprawy z wydatków, może nas pouczyć, na czem oszczędzać możemy. Przyzwyczajać się też trzeba do kupowania za gotówkę, na tem zyskać może tak kupujący, jak i kupiec. Kiedy nas wypierają z ziemi, powinniśmy więcej niż dotychczas szukać pracy zarobkowej w handlu i przemyśle. Niech i u nas, jak w innych krajach, tworzą się rodziny kupieckie, wychowujące synów, wnuków i prawnuków w tym samym zawodzie. Popierajmy się nawzajem i pokochajmy wszystko, co nasze“.

Uchwalone rezolucye.

Trzecia referentka, panna Helena Rzepecka, mówiła o zadaniach Polki wobec dwóch nowych ustaw antipolskich. Z uchwalonej rezolucyi, wyjmujemy następujące ważniejsze wskazówki: „Chociażby wywłaszczone z dziedzictwa ziemi, kobiety samodzielne, nie opuścimy stron ojczystych, a ojców, mężów i braci utrwalać będziemy w tem samem postanowieniu: mienia naszego w gotowiźnie nie wycofamy ani za granicę, ani za kordo-

ny, lecz kapitały nasze w społecznej własnej gospodarce; mimo ścieśnienia swobody słowa ojczystego w życiu publicznem, bez wahania nadal będziemy pracowały w naszych instytucyach narodowych i społecznych; dzieci nasze i młodzież wogóle wychowywać będziemy w duchu szczerze narodowym; rozumiejąc doniosłe znaczenie oszczędności narodowej, wystrzegać się będziemy zbytku życia nad stan, a krzewiąc poczucie ofiarności, zaoszczędzonym groszem zasilać będziemy narodowe potrzeby i pomnażać dorobek społeczny popieraniem własnego kupiectwa i własnego przemysłu".

Pożar Dźwińska. Jak niedawno doniosły telegamy, w Dźwińsku powstał ogromny pożar, który zniszczył przeszło 300 domów. Dźwińsk, miasto powiatowe, w gubernii witebskiej, leży na prawym brzegu Dźwiny zachodniej. Odległość Dźwiń-ska od Warszawy wynosi 548 wiorst. Dźwińsk liczy około 75.000 mieszkańców, pośród których przeważają żydzi, mający w swych rękach prawie cały handel. Po żydach najliczniejsi są Łotysze, dalej idą Białorusini, Rosyanie, Polacy i t. d. Pod względem wyznania jest około 20 procent katolików, 20 prc. prawosławnych, 12 prc. protestantów, 2 prc. starowierców i 46 prc. żydów. Katolicy posiadają w miejscu dekanat i kościół parafialny. Dźwińsk posiada gimnazyum realne, gimnazyum żeńskie, tudzież 5 szkół miejskich. W r. 1890 liczono tam 30 fabryk, 865 robotników, a wytwórczość szacowano na pół miliona rubli. Rozwój miasta datuje się od czasu otwarcia linij kolejowych. Dźwińsk, w kronikach i dokumentach łacińskich zwany Dunenberg, albo Duneborg, ma burzliwe dzieje. W roku 1277 Krzyżacy zbudowali tutaj zamek warowny, po którym pozostały dzisiaj tylko gruzy. W r. 1315 Litwini zburzyli ten zamek, ale Krzyżacy wkrótce go odbudowali. W r. 1559 zamek i miasto, powstałe obok, przeszły w ręce Zygmunta Augusta, jako zastaw na koszta wojenne z powodu obrony Inflant przed Moskwą. Pakta poddania się Inflant królowi Zygmuntowi Augustowi i unia ich z Litwą w r. 1566, a wreszcie wcielenie ich do Polski na sejmie lubelskim w r. 1569 oddały wreszcie Dźwińsk pod panowanie Polski. Podczas wojen szwedzkich miasto ucierpiało ogromnie. Przy pierwszym podziale Polski w r. 1772 Dźwińsk dostał się w ręce Rosyi.



ROZMAITOŚCI.

Zemsta hakatystów za wybory na Śląsku. Wobec świetnych wyników prawyborów do sejmu pruskiego na Górnym Śląsku, hakatyści tamtejsi pienią się ze złości. W „Kuryerze Śląskim", organie posła Korfantego, czytamy:

„Rządowcy i hakatyści mszczą się na robotnikach polskich za to, że nie chcieli im przy wyborach sprzedać duszy polskiej. W kopalni „Ferdynanda" pod Bogucicami wypowiedziano już kilku górnikom pracę, a w „Konkordyi" w Zabrzu zaczęto również robotnikom dokuczać. Na „Konkordyi" zaraz po wyborach z rozkazu wyższego urzędnika zapowiedziano robotnikom, że urwą im po 10 fen. z dziennego zarobku. Zarząd kopalni wywiesił w cechowni zawiadomienie, że dziennie zarobki zostaną zmniejszone o 30 do 70 fen. Na podwórzu kopalni wszczął się z tego powodu ogromny hałas pomiędzy górnikami, a z nocnej partyi nikt nie chciał zjeżdżać na dół. Młodsi robotnicy rzucali marki do markowni. Hałas stawał się coraz większy i strajk byłby niezawodnem następstwem, ale zarząd zmiarkował, że robotnicy użyją wszelkich środków celem obrony swych praw obywatelskich i zarobków, więc rozporządzenie cofnął, obwieszczając równocześnie robotnikom, że zarobki nie zostaną zmniejszone".

Straszna katastrofa w Wiedniu. Wydarzyła się w Wiedniu katastrofa, jedna z najstraszniejszych w ostatnich czasach. W fabryce celuloidu wybuch pożar. Przy-

czyną — o ile dotąd zbadano – był wybuch kotła, zawierającego ulatniający się z celuloidu kurz. O 10 rano usłyszano silny huk w jednej chwili cały budynek otoczony został płomieniami i dymem, zajęci w fabryce ludzie rzucili się kilku drzwiami i schodami do wyjść.

Z piwnicy, w której wybuch nastąpił, płomień wypełnił podwórze, objął wszystkie drzwi, okna i schody, zamykając odwrót. Ogień rozszerzył się w przeciągu kilku minut, znajdując wszędzie tak łatwo zapalny materyał, jak celuloid. 15 robotników i robotnic zginęło w tem morzu płomieni. Dotąd wydobyto ich trupy, a oprócz tego nie doszukano się jeszcze 2 osób. Nieszczęśliwi są młodymi ludźmi w wieku od 14 do 27 lat; 12 kobiet i 3 mężczyzn padło ofiarą.

Oprócz tego 6 ludzi odniosło ciężkie poparzenia, lub złamania członków przy zeskakiwaniu z pięter. Między innymi poparzyło się kilku strażaków.

Wykup ziemi. W Petersburgu istnieje tak zwany bank szlachecki utrzymywany przez rząd, a udzielający szlachcie rosyjskiej pożyczek na kupno ziemi. Działa on przy pomocy swych urzędów na całym obszarze Cesarstwa, a między innemi i w dziewięciu bliższych nam guberniach, mianowicie: kowieńskiej, willeńskiej, witebskiej, wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej. Ze świeżo ogłoszonego sprawozdania tego banku widać, że przy pomocy jego pożyczek własność ziemska szlachty rosyjskiej w owych dziewięciu guberniach pomału się rozszerza, a własność polska zmniejsza. Tak w ciągu lat 12-tu, od roku 1894 do 1907 bank szlachecki pożyczył tam około 26 milionów rubli na kupno 192 majątków polskich, mających łącznie przeszło 28 tysięcy włók ziemi; średnio więc sprzedawano i kupowano tam takiej ziemi co rok przeszło po 2300 włók, zawartych w 16-tu majątkach. W roku ostatnim, za który ogłoszono sprawozdanie, to jest w 1906, kupiono w tychże guberniach przy pomocy banku szlacheckiego 8 majątków mających łącznie 650 włók obszaru.

Krwawe wesele odbyło się we wsi Święty koło Radymna 9 b. m. W chwili gdy żeniąca się para wiejska wchodziła do swej nowej siedziby, padł strzał, od którego jeden z gości, Jędrzej Warchomy, padł ciężko raniony. Sprawcą nieszczęścia był parobek Pukalec, który – jak się tłómaczył — chciał wystrzelić na „wiwat“.

Wyzysk wychodźców. Z Brodów donoszą o niesłychanym wyzysku dokonywanym na ludziach, wracających przez Brody z Ameryki do Rosyi. Urządzono tu specyalne biura, które środkami sprzeciwiającymi się ustawie karnej ograbiają biedaków. Jedną najgorszych w tym kierunku hyen jest Leib Charasch; urządził on sobie „hotel“, do którego przez nastawników swoich sprowadza przyjeżdżających pociągami emigrantów, ograbia ich z pieniędzy i wydaje w ręce żandarmów rosyjskich.

Wypadki takie niejednokrotnie miały już miejsce, a Charasch mimo to chodzi bezkarnie, ufny w protekcyę, okupywaną „podarunkami“.

Ludożerstwo w Afryce. „Imperial“ donosi o rozbiciu się łodzi na rzece Kongo (w Afryce), przyczem 70 murzynów utonęło. Czterej Europejczycy, którzy zdołali się wyratować z łodzi, padli ofiarą ludożerców.

„Amerykanka“. Przed kilkunastu dniami zgłosiła się do gospodarza Iwana Drewlanego we wsi Popowicach koło Przemyśla kobieta i przedstawiwszy mu się jako żona jego własnego syna, który przyjechał — jak opowiadała – z Ameryki i przebywa obecnie w Krakowie, zażądała od „teścia“ pieniędzy na wykupno rzeczy na dworcu. Syn się znajduje w kłopocie, zgubił bowiem 900 koron. Drewlany dał „Amerykance“ 120 K i wyprawił ją z 2 furami po te „amerykańskie“ rzeczy do Przemyśla. Tu sprytna oszustka, korzystając z nieuwagi parobka, zniknęła z oczu. Sprytnej „Amerykanki“ dotąd nie przychwycono.

Zbieranie jagód i grzybów w lasach państwowych. Minister Ebenhoch w okólniku, wystosowanym do wszystkich dyrekcyj lasów i dóbr państwowych, zarządził, ażeby w przyszłości odpadły należytości za pozwolenie zbierania jagód wszelkiego rodzaju i grzybów w lasach państwowych i już w lecie pozwolenia te udzielano bezpłatnie starszym ludziom i dzieciom do lat 12, jeżeli ustnie lub pisemnie przedstawią prośbę tę, popartą świadectwem ubóstwa z dotyczącej gminy. No, może i u nas będzie lepiej!

Klęska motyla nawiedziła Lwów. Miasto całe, szczególnie drzewa, rośliny i kwiaty pokryte są niby płatami śniegu. To bielinek kapustnik rozmnożył się w tak znacznej ilości i grozi klęską roślinom. Drogi, ulice, chodniki, zasiane bielinkiem, w powietrzu unoszą się stada motyli, barwne i poetyczne — ale groźne, jeżeli się zważy szybkość, z jaką się rozmnażają.

Podlewanie warzyw. Ogrodowizny mają bardzo różne wymagania co do ilości wilgoci: jedne potrzebują częstszego podlewania, inne zadawalają się znacznie mniejszą ilością wody. Pierwsze z nich w braku wilgoci przestają róść i więdną, drugie zaś gniją, jeśli się je zbyt obficie podlewa.

Kto się nie zna zupełnie na uprawie warzyw, ten podleje tak samo cebulę, jak kapustę; inny, idąc z konewką wzdłuż zagonu, będzie lał póty, póki mu wody nie zabraknie; niewielu zaś wie o tem, że źle wykonane podlewanie przynosi więcej szkody, niż pożytku. Weźmy przykład. Oto nawieźliśmy jesienią obficie ziemię i przekopaliśmy na całą łopatę, czyli, że gnój jest pokryty warstwą ziemi, grubości 6 cali. Na tych zagonach sadzimy kapustę. Przypuśćmy, że natrafimy na lato równie suche, jak było w roku 1904 i nasza kapusta ma tylko tyle wilgoci, ile jej dostarczamy przez podlewanie. Jeżeli tę pracę wykonamy pobieżnie, będziemy chodzili wzdłuż zagonów, lejąc tyle, aby powierzchnia ziemi namiękła, wtedy w najlepszym razie przemięknie ziemia na głębokość 3 cali. Wiadomo, że jeśli korzenie znajdują wilgoć na powierzchni, to się w suchą ziemię nie zagłębią. A jaki skutek tego? Oto taki, że leżący o 3 cale głębiej nawóz nie przegnije, korzenie go nie dosięgną i nasza kapusta będzie rosła powoli jak na gruncie niemierzwionym i nie dojdzie do pożądanego rozwoju. Z tego przykładu widać, że złe podlewanie może mieć gorsze skutki, niż zaniedbanie podlewania; dobre podlewanie zasadza się na tem, ażeby ziemia przynajmniej na 6 cali przemiękła. Lepiej jest podlać rzadko a obficie, niż często a skąpo.

Ażeby się woda nie rozlewała szeroko, robi się naokoło rośliny w pewnym od łodygi odstępie zagłębienie rowkowate, czyli miskę, która powinna pomieścić tyle wody, ile jej potrzeba do nasycenia ziemi wilgocią na żądaną głębokość.

Należy unikać polewania roślin podczas skwaru, ponieważ z jednej strony naraża się liście na spalenie, z drugiej zaś obniża się ciepłotę ziemi, a temsamem wstrzymuje wzrost roślin.

Wspomnieć też wypada, że woda twarda, jaką zwykle jest woda studzienna, nie powinna być do podlewania roślin użyta. Musi ona stać się miękką przez odstanie na powietrzu, lub też przez dodanie do niej wapna, gnojówki lub guana. Nie należy również polewać nagrzanej ziemi zimną wodą, gdyż wywiera to szkodliwy wpływ na wzrost roślin.

Podlewając warzywa rurką, należy konewkę trzymać nizko, ażeby woda spływała łagodnie, nie zaś spadała ze znacznej wysokości, przyczem ziemia się zbija, wymywają się dziury, obnażają się korzenie, rośliny się przewracają, liście się obłamują lub zanieczyszczają pryskającą naokoło, zamuloną wodą.

Powierzchowne zraszanie rano i wieczorem liści warzyw zapomocą sitka, sprzyja bardzo rozwojowi ogrodowizn.

W celu przyspieszenia zbioru niektórych wczesnych warzyw (sałata, kapusta, kala-

fiory) nie należy oszczędzać sobie pracy podlewania, która się sowicie opłaca, gdyż za wcześniejsze warzywa dużo więcej płacą.

Artykuł powyższz wyjęty jest z świeżo wydanego dziełka Stanisława Schönfelda p. t.: „Warzywnictwo gruntowe“. Dziełko to, dające całokształt czynności w ogrodzie warzywnym, jest bardzo starannie opracowane i zasługuje na baczną uwagę rolników. Popularną treść książki jeszcze więcej uprzystępniają liczne, bardzo troskliwie dobrane ryciny. Książka ta wyszła w Warszawie nakładem Gebethnera i Wolfa, u nas kosztuje 1·10 K. Jest na składzie w księgarni Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie.

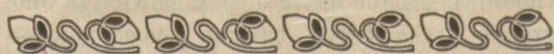
* * *

Spółki rzeźne w Danii. Nadzwyczajny rozwój Spółek mleczarskich naprowadził Duńczyków na inny przemysł gospodarski, który wnet ujęli także w spółki. Mleka, odtłuszczonego w mleczarniach, użyli na wypas świń. I dzisiaj hodowla świń, obok mleczarstwa, jest najrentowniejszą gałęzią gospodarstwa w Danii. Ogólna liczba świń wynosiła w całej Danii w roku 1903 półtora miliona sztuk trzody chlewnej. Na każdego Duńczyka przypada pół świni. Rozumie się, że tak wielkiej ilości trzody chlewnej nie spotrzebują Duńczycy dla siebie, ale wywożą zagranicę. A wywóz ten nie odbywa się inaczej, jak tylko w sztukach bitych, a raczej w przeróbce mięsa wieprzowego.

W tym celu chłopi duńscy pozawiązywali spółki rzezalniane, do których odprzedają swoją trzodę i wywożą zagranicę bite sztuki na wspólny dochód. Takich spółek istnieje już w Danii z górą 30. Na każdą spółkę przypada w przecięciu 2.333 członków, a 37.813 zabitych świń, czyli że we wszystkich spółkach pada pod nożem w ciągu roku przeszło milion świń. — Do spółek należą przeważnie sami chłopi, gdyż stanowią 80 procent wszystkich członków. Wszystkie rzezalnie spółkowe tworzą znowu osobny związek, który zajmuje się wyszukaniem miejsc zbytu dla mięsa wieprzowego, a zarazem czuwa nad usunięciem nieuczciwej konkurencyi.

Jeszcze o jednych spółkach w Danii wspomnieć należy. Są to spółki wywozu jaj. W roku 1905 naliczono w Danii półdwunasta miliona kur, tak, że na każdego mieszkańca wypada półpiątej kury. Wywóz jaj uskuteczniony w tymże roku przez spółki wynosił 51 milionów funtów jaj, a zarazem zajmują się ich skupywaniem i przechowywaniem przez czas dłuższy. Spółka taka, obejmując większy okręg, dzieli się na pomniejsze okręgi, w których urzędnicy spółki zbierają jaja co tydzień. Kupna jaj dokonywują na wagę i wedle wagi płacą, a nie za sztuki.

Jakże u nas przydałyby się takie spółki wywozu jaj! Czy dojdziemy kiedy do tego?



Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło...

Nie byłoby mnie miło, gdyby kto co miesiąca brał odemnie po wiązce siana, a po roku lub po dwóch, nie zapłacił za to ani halerza.

Nie byłoby mnie miło, gdyby kto brał odemnie po jednym kurczątku, co miesiąca, a nie pomyślał, iż przecie należy zapłacić za to. Nie byłoby nam przyjemnie, gdyby ktoś przychodził do sadu i brał po trochu owoców, a nie dał za to ani centa.

Bo już takie w świecie jest prawo, iż za rzeczy nie darowane — musi się płacić. Płacimy więc za buty i trzewiki, za guziki i nici, za wódkę i za piwo, a tylko za książki i za gazety płacić nie lubimy. Zdaje nam się zawsze, iż to można otrzymać nie płacąc i że ci ludzie, którzy do wydawania gazety zabierają się, nie potrzebują żądać zapłaty od tych, którzy czytają. A jednak z przyczyny takiej niewypłacalności wydawca wpada w długi i niejeden raz wiele bardzo przeżywa umartwień.

Żal zaprzestać drukować, żal przestać po-

syłać czytelnikom i żal płacić własnym groszem za to, z czego drudzy korzystają.

Trzeba więc zwrócić się do czytelniczek i czytelników z prośbą wyżej przytoczoną:

— Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło!

Redakcya „Przodownicy“ papieru na gazetę nie dostaje od nikogo za darmo, trzeba zapłacić i to dość drogo. Drukarnia ani jednego wiersza za darmo nie złoży, bo ci, co pracują w drukarni, muszą mieć wynagrodzenie za pracę. Poczta ani jednego numeru za darmo nie prześle, bo trzeba płacić za robotę tych wszystkich, którzy pracują. A jeżeli czytelnicy odbierają gazetę rok i dwa nie zapłaciwszy, czy nie czynią przykrości i szkody redakcyi?...

Musimy więc zwrócić się teraz po półroczu z gorącą prośbą do naszych przyjaciół i czytelników, ażeby przypomnieli sobie ile są winni za „Przodownicę“ i to co należy się, ażeby nadesłali do redakcyi. Gdybyście obaczyli nasze książki redakcyjne i gdybyście obliczyli wiele my płacić musimy za wydawnictwo, tobyście z przestrachem odczytali i tę liczbę, która wskaże: — winni za prenumeratę!

Jeden sobie myśli: — Nie zapłaciłem przez rok, może to nie zrobi redakcyi wielkiej szkody.

Druga znów powiada: — Pani redaktorka nas kocha to i wybaczy, gdy nie płacę. A tymczasem takich co nie płacą jest więcej jak tych co płacą, i „Przodownica“ biedna, długów ma tak wiele, iż chyba nie będzie mogła dalej wychodzić. Dobrze to sądzić, iż kto kocha lud, za darmo może gazetę posyłać, ale lud niech też zrozumie, iż on także nic za darmo robić nie może i nie chce. Redakcya za darmo daje swoją pracę, bo ci wszyscy, którzy piszą artykuły, nie biorą wynagrodzenia za pracę i trud i czas, lecz za koszta nieuniknione i za nie muszą płacić ci, którzy gazetę odbierają i czytają.

Między redakcyą gazety, a czytelnikami jest rodzaj umowy honorowej, obywatelskiej. Do sklepu kto wejdzie, wie, iż za towar musi zapłacić, więc też bez pieniędzy nie przychodzi. Do redakcyi pisze się z prośbą o przesyłanie gazety, ale zapłatę zawsze odkłada się na później. Czeka redakcya cierpliwie i chętnie, lecz gdy za długi czas minie, a kosztów coraz przybywa, wtedy wreszcie trzeba się upomnieć i powie: — Ci, którzy są winni, niech przyszlą prenumeratę!...

„Przodownica“ jest tak tania, iż nawet za połowę kosztów nie opłaca należytości. Więc nikt nie może powiedzieć, iż nie stać go na tyle, aby zapłacił za gazetę. Trzeba tylko mieć to na pamięci, iż zapłacić się musi i trzeba trochę więcej chęci ku temu, ażeby zapłatę nadesłać.

Jak nieprzyjemnie i niemiło każdemu z nas czekać na należną zapłatę, tak i redakcyi przykro jest dopraszać się o wyrównanie zaległości.

Spodziewamy się jednak, iż czytelnicy nasi nie zechcą nas narażać nadal na straty i poczują się do obowiązku nadesłania należytości. Gdyby Redakcya brała od was pieniądze, a gazety nie posyłała, cobyście o niej powiedzieli? A jeśli wy bierzecie gazetę i pieniędzy nie nadsyłacie — cóż sami o sobie rzec możecie?

Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło!!...

Nie miło tobie Szan. Czytelniku upominać się o zapłatę — nie dajże czekać i na grosz od ciebie.

Czytelnicy „Przodownicy“ przyślijcie zapłatę.

Redakcya.





DZIAŁ GOSPODARCZY.

Pogawędka gospodarska.

Dla gospodyń rozpoczął się teraz sezon pracy, w czasie którego muszą nagromadzić zapasy na cały rok. Zanim jednak zaczną się gromadzić te zapasy, należy zrobić w spiżarni, piwnicy i na strychu gruntowny porządek, co później jest już prawie niemożliwem do wykonania. Półki powinny być oczyszczone z zimowego kurzu. Szuflady wyszorowane i wysuszone na słońcu, słoiki i opróżnione butelki czysto wymyte i ustawione dnem do góry na półkach w oczekiwaniu na nowe napełnienie. Drewniane faski, kadzie i beczki wyparowane, wyszorowane i wymoczone przez kilka dni w stawie lub w rzece, trzeba ustawić w piwnicy, gdzie się nie będą zsychały. Co zepsute to właśnie teraz najlepsza pora oddać do naprawy, nie czekając chwili, w której będzie potrzebne. Mysie jamki, których to nigdzie nie brakuje, trzeba zatkać gliną, urobioną z tłuczonem szkłem. Całą spiżarnię należy czyściutko wybielić, podłogę dobrze ługiem wyszorować, jeżeli niema podłogi, tylko lepianka lub cegły, to dobrze jest taką podłogę posypać proszkiem wapiennym lub popiołem i skropić wodą, tak zostawić przez parę godzin lub do drugiego dnia, a potem zamieść, a wytępi się przez to wszelkie drobne robactwo. Dobrze jest również pobielić lepiankę mlekiem wapiennem. Wreszcie po zrobieniu takiego ogólnego porządku powinno być wszystko spisane lub porównane ze zeszłoroczną notatką, dla przekonania się, czy czego nie brakuje.

Najwcześniej rozpoczyna się zajęcie z drobiem, następnie z mlekiem. Krowy, które się wycieliły w zimie lub na wiosnę, wypuszczone teraz na pastewniki lub karmione w oborze zieloną paszą, dają teraz najwięcej mleka, wszelkie sery są obecnie teraz najsmaczniejsze, to też zagranicą robią sery tylko w lecie, zaś z chwilą przejścia krów na suchą paszę, zaczynają robić masło, które w zimie osiąga wysoką cenę i może być w stanie świeżym przesyłane na większą odległość. Przy tem trzeba wziąć na uwagę, że temperatura letnia więcej sprzyja dojrzewaniu serów, niż temperatura jesienna, natomiast temperatura jesienna jest więcej odpowiednią do wyrobu masła. Co prawda to masło wiosenne uważane jest za najlepsze, robiąc jednak zapas zimowy, lepiej jest użyć masła jesiennego, zwłaszcza tam, gdzie piwnice nie są zupełnie suche, gdyż w wilgotnych, przy najstaranniejszem utrzymaniu, masło stojące przez kilka miesięcy może spleśnieć i zjełczeć.

Co do drobiu, to na początku czerwca ma miejsce lęg indycząt, mogą być jeszcze kaczki i kurczęta, ale są one już słabe. Gospodynie, którym się dotychczas wychów indyków nie udawał, mogą spróbować jednego z dwóch sposobów, używanych zagranicą i dających pomyślne wyniki. Pierwszym sposobem jest tak zwany chrzest indycząt. Świeżo wylężone indyczęta zanużają na sekundę w zimną wodę, to znaczy zanużyć i w tej chwili wyjąć. Potem wkładają je napowrót pod indykę dla osuszenia, nie trzymając ich już wcale w ciepłych kuchniach, jak to u nas przeważnie robią, lecz w chłodnym, ale suchym i nadzwyczaj czysto utrzymywanym kurniku, skąd jak najczęściej bywają wypuszczane na świeże powietrze. Kurnik powinien być codziennie wysypany czystym i wysuszonym piaskiem.

Drugi sposób hartowania indyków polega na zadawaniu im pieprzu. W 24 godzin po wylęgnięciu daje się indyczętom do dziobka, pilnując ażeby połkły, po jednem, niewielkiem ziarnku pieprzu, zwykłego czarnego pieprzu, namoczonego poprzednio na 24 godzin w dobrej, świeżej, stołowej oliwie, następnie daje się im zwykłą karmę jajko i t. d. Bardzo dobrem pożywieniem dla indyków, wogóle dla młodego drobiu jest twaróg, zadawany czy to sam czy też z drobno siekanem ziel-

skiem jak: krwawnik, babka szerokolistna, pokrzywa, różowo kwitnący powój, koniczyna młoda, liście buraczane.

W lipcu i sierpniu są indyki najsłabsze tj. wtedy, kiedy dostają korali. Trzeba je wtedy strzedz od upałów i wilgoci, niewypuszczać wczas rano na rosę i chronić przed deszczem, a karmę dawać im posilną i chłodzącą to znaczy, że powinny dostawać do picia mleko a do karmy tj. do zielska i ziarna nie żałować im twarogu, a opłacą one to sowicie, gdy wyrosną.

Zwykle na wiosnę, jest wielki popyt na drobną trzodę, małe prosięta zawsze są w cenie, tem więcej, że przez kilka lat wiele wyginęło. Pomimo, że weterynarze starają się wszelkie choroby leczyć, to i tak śmiertelność jest zwykle bardzo znaczna i tylko właściwie ściśle przeprowadzona dezinfekcya pozwala czasami niedopuścić choroby. Jeżeli się w okolicy pojawi zaraza, to trzeba utrzymywać jak największą czystość w chlewie, ściany wybielić, nieżałować obfitego podściołu, skropionego karbolem a nadewszystko unikać kupowania trzody na jarmarkach, skąd często przywożą zarazę świnki, mające chorobę w zarodku, narazie trudną do rozpoznania, po paru dniach dopiero pokazuje się, że nowo nabyta sztuka jest chorą, wtedy jednak najczęściej pewna ilość miejscowych jest już zarażoną i ratunek staje się trudnym, a często nawet niemożliwym. Dlatego też lepiej jest zapobiedz niż leczyć. Nowo nabyte sztuki powinny być na 10 dni odosobnione i nawet osoby, które robią około nowo nabytej sztuki niepowinny robić około miejscowej trzody.

Bardzo miłem i ważnem zajęciem dla gospodyń jest ogródek, powinien też być przy każdym domu. W czerwcu można jeszcze siać rzodkiewkę, sałatę gruntową, ogórki na korniszony, fasolę szparagową i groch na strączki, sałatę rozsadzać, siać i wysadzać jarmuż. Na początku miesiąca można jeszcze sadzić cebulę i późne odmiany kapusty. Wczesne pomidory o ile zawiązały już owoce przycinać nad ostatnim wyraźnym owocem, gałązki nikłe zupełnie obcinać, krzaki pomidorowe okopać i opalikować. Okopać groch, bób, fasolę, kapustę. Ogórki przerywać i wzruszyć przy nich ziemię. Przerywać marchew, pietruszkę, buraki itp., które były siane odrazu na stałe miejsce. Pielić i przerywać najlepiej zaraz po deszczu, wyplewki składać na kupki, zabierać z sobą po ukończonej robocie, tępić owady, jajka motyli. W sadzie obejrzeć drzewa i po zawiązaniu się owoców skropić całe drzewa cieczą bordorską dla uniknięcia grzybków, jakie się na owocach tworzą. Rany wszelkie, jakie powstały z przemrożenia lub raka itp wyciąć aż do zdrowego drzewa, osuszyć przez wytarcie octem lub szczawiem i posmarować smołą gazową, jeżeli rany są głębsze, to oprócz tego zalepić je gliną urobioną z sierścią i terpentyną. Ziemię około drzew okopać, podlać nawozem płynnym, gnojówką rozcieńczoną z wodą i podprawioną popiołem. Strząsać nadmiar owoców a opadłe robaczywe owoce palić, aby uniknąć rozmnażania owadów, powodujących robaczenie owoców.

W czerwcu trzeba już suszyć groszek, pamiętać tylko o tem, ażeby wybierać z angielskich gatunków pomarszczonych, można go suszyć na powietrzu lub w piecu po chlebie rozpostarłszy cienko na płótnie lub brytfannach lub lasach.

Czas zacząć zbierać zioła kuchenne i lekarskie, są one najlepsze w tym czasie, kiedy zaczynają kwitnąć.

W maju lub z początkiem czerwca trzeba uzbierać młodziutkich szyszek lub czubków sosnowych, jeżeli się w okolicy pojawi zaraza na drób, wtedy się te szyszki gotuje a przestudzony odwar daje się kurom do picia, co chroni je od zarazy.

Suszona fasola w strączkach. Wybiera się małą i delikatną fasolę, rozkłada się na lasach i suszy w piecu, co jest lepiej niż na powietrzu. Na 2 lub 3 godziny przed użyciem, należy ją namoczyć.

Można również strączki drobno ukośnie pokrajać, spażyć osoloną wodą, wysypać na

sito, aby woda odciekła, potem rozłożyć na lasach i suszyć. Przed użyciem namoczyć i zaprawić jak zwykle.

Białe odmiany fasoli są delikatniejsze w smaku od odmian czerwonych.

Wiśniak. Zupełnie dojrzałe wiśnie rozgnieść dobrze na dużej misce kamiennej dla lepszego zapachu dodać jedną trzecią ziarnek z pestek, które mają tę samą własność co gorzkie migdały. Tę masę zostawić w misce kamiennej lub w słoju, przykryć szczelnie i ustawić tak przez 3 lub 4 tygodnie, potrząsając dwa razy dziennie. Po ukończeniu fermentacyi postawić na ogień, a gdy się zacznie gotować, dolać dobrego spirytusu.

Tym sposobem można robić śliwowicę, jarzębinkę i inne podobne. Najgłówniejszą rolę odgrywa tu fermentacya.

Nalewka malinowa. Dwa litry dojrzałych malin zalać ośmioma litrami wystudzonego syropu, zrobionego z 3 klg. cukru i 4 litrów wody. Dodać litr dobrego spirytusu zatkać i postawić na 10 dni w ciepłem miejscu, ale nie na słońcu, potrząsając codziennie naczyniem. Po 10 dniach, gdy płyn będzie czysty, zlać do butelki, zakorkować i zachować w piwnicy a po 6 miesiącach będzie wyborna malinówka.

Sposób robienia jabłecznika. Dojrzałe jabłka ogrodowe pokrajać na połowę, rzucić na jedną kupę, na której powinny leżeć 24 godzin dla przygotowania do fermentacyi. Potem rozbić w stępach i wygnieść w prasach (można w prasach od sera, tylko muszą być dobrze wyparzone i wymyte) w cienkich workach. Uzyskany sok wlać do otwartej beczki i zostawić tak przez 24 godzin. Poczem zlać do beczki z wina, siarką wykadzonej, nakryć lekko grubym końcem szpunta i zostawić w piwnicy bez poruszenia przez 2 tygodnie. Po upływie tego czasu zatkać beczułkę dobrze i zostawić aż do następnego roku. Potem spuścić w butelki również wysiarkowane i już gotowe do użytku.

L. Hałacińska.

Znaczenie i korzyści hodowli pszczół. W jednem z pism rozpisuje się niejaki p. Reschke z Torunia, na w tytule podany temat. Z wywodów tego rzeczoznawcy tem chętniej niejedno w tłómaczeniu podajemy, ponieważ pragnęlibyśmy, aby jaknajwięcej gospodarzy pszczelnictwem się zajmowało. Reschke skarży się na to, że zawsze jeszcze mało osób pszczelnictwem się zajmuje, co tem mniej jest zrozumiałem, że do tutejszego kraju corocznie za miliony marek miodu z zagranicy się dowozi, lub też zadawalać się trzeba sztucznym miodem, wobec braku naturalnego. Nie ulega wątpliwości, że w razie rozpowszechnienia hodowli pszczół, potrzebę krajową w miodzie itp. bardzo dobrze możnaby zaspokoić.

Oprócz korzyści dostarczania tak doskonałego produktu jakim jest miód i wosk — dają nam pszczoły pośrednie korzyści — przez zapładnianie kwiatu roślin w polu i ogrodzie. Przy zbieraniu miodu i pyłu kwiatu, luźno w torebkach nasiennych spoczywający pył wzruszonym zostaje, unosi się w powietrze i dostaje w lepkie blizny słupka kwiatowego i roślina w ten sposób zapłodnioną zostaje. Ale i za pośrednictwem własnego ciała pszczoły, zarodki z kwiecia na kwiecie przenoszą. Dobroczynny skutek tej czynności pszczół objawia się w obfitszym na sadzie owocu.

Tak np. jest w tucholskiej puszczy znaną i doświadczoną rzeczą, że w miejscowościach, w których pszczół nie utrzymują — rośliny, jak seradela, tatarka, także biała koniczyna mniej ziarna wydają, aniżeli w okolicach, w których pszczół nie braknie. Pszczoła dalej usuwa, a raczej obtrząsa z rzepiku szkodliwe chrząszczyki i w ten sposób rolnikowi do uzyskania lepszego sprzętu dopomaga.

Na stacyach naukowych, które służą badaniu życia pszczół, poczyniono pouczające doświadczenia, które właśnie dowiodły, że pszczoły nasze przy zapłodnianiu roślin nader ważną rolę odgrywają. Bo oto pewną

przestrzeń roślin, przez owady nawiedzanych, przykryto gazą, tak że światło i powietrze do roślin miały wolny przystęp, lecz pszczoły i im pokrewne owady do roślin dostać się nie mogły. I otóż przekonano się, że nie zasłonięte rośliny, które zatem pszczoły swobodnie oblatywały, obsadzone były obfitym owocem, gdy natomiast gazą zasłonięte, posiadały go mało i słabo rozwiniętego.

Podobne spostrzeżenia zrobiono także w sadach owocowych. Reschkiemu skarzył się pewien rolnik, że mimo troskliwej opieki drzewa owocowe jakoś rodzić nie chciały. R. uważał, że przyczyną niepomyślnej urodzajności drzew, może być brak pszczół, bo nigdzie w okolicy ich nie zauważył. Radził więc owemu gospodarzowi, aby tenże nabył chociaż dwa pnie pszczół. A skutak był znakomity. ponieważ od chwili umieszczenia w sadzie chociaż tej małej ilości pszczół, drzewa bardzo dobrze rodziły, uginały się formalnie pod ciężarem owocu. Podobno, że dopiero od zaprowadzenia w Australii miododajnej pszczoły, tamtejsze plantacye owocu się podniosły, zaczęły dostarczać na targi światowe wielkie ilości owocu, gdy dawniej drzewa tamtejsze pięknym kwiatem olśniewały, ale nie było dobrego owocu.

Przy końcu wyraża Reschke uznanie dla władzy kolejowej, która podobno rozporządziła, aby na nasypach kolejowych itp. miejscami midodajne rośliny obsadzano względnie je zasiewano. Władza kolejowa zaleca też swym podwładnym, aby pszczelnictwem się zajmowali — niemniej udziela im władza zapomóg celem odbywania kursów nauki pszczelnictwa lub ułatwienia urządzenia pasiek.

A wreszcie R. podnosi „idealną“ korzyść z zajmowania się pszczołami, a tą jest wewnętrzne zadowolenie, gdy się patrzy na roje pracowitych pszczół. Każdy pasiecznik chętnie przebywa w swojej pasiece, natomiast stroni od karczmy, od niedobrych rozrywek. To też śmiało powiedzieć można, że niemal każdy pszczelarz jest pracowitym, spokojnym, zadowolonym człowiekiem.

Kąpiel dla kur. Gospodarz, który powyższe słowa przeczyta, pomyśli naturalnie o właściwej kąpieli — o „wodzie“ zatem, której przecież kury wcale tak nie wymagają. Byleby im dostarczyć zdrowej wody do picia, latem i zimą, to już kurom zupełnie wystarczy. Ale ptaki te lubią w „piasku się kąpać“ i być może, że czynią to także tak sobie „dla zabawy“, lecz przedewszystkiem kąpanie się kur w piasku ma ten ważny cel, że ptaki z robactwa doskonale się oswabadzają. Przy chowie ptactwa nie dosyć staranności dokładać można, aby drób nie cierpiał od robactwa, od tych prawdziwych pasożytów, które się wsysają w ciało ptaka, dręczą go i wartość u'ytkową bardzo obniżają. Ręczyć za to możemy, że gdzie robactwo w kurniku (a zatem i na drobiu) się rozpleni, tam nie będzie pociechy z utrzymywanego ptactwa, że natomiast będą widoczne straty. Niejeden gospodarz lub gospodyni nie wie, co ptactwu dolega, jeżeli to nie dobrze się trzyma, jest niespokojne, smutne, mało jaj znosi i na pozór zdradza oznaki choroby. Gospodarz lub gospodyni przypuszcza więc, że jakaś choroba ptactwo nawiedziła, że może „zaraza wisi w powietrzu“, że drób niebawem zacznie wypadać, tak smutny widok stado przedstawia. W całem tego słowa znaczeniu — o niepowodzeniu mówić można, lecz winę „niepowodzenia“ i w tym wypadku gospodarz sam sobie przypisać może. Ale ptactwu bezpośrednio nic nie zagraża, nie wyzdycha ono odrazu; nie wiele mniej niebezpieczny wróg atoli ptactwo nawiedził i głęboko w upierzeniu ukryty, powolnie go niszczy, bo siły żywotne mu odbiera.

Niemiłosierną walkę z tym wrogiem ptactwa gospodarz podjąć powinien. Kurnik powinien częściej dokładnie oczyścić, ściany i posowę wybielić, wysiarkować go przy szczelnie zamkniętych drzwiach i wszelkich lukach. Powinien raz po raz garść wapna

sproszkowanego na sufit i ściany rzucić, które się po kurniku rozpyli i dotrze we wszystkie szczeliny. Opadły miał wapienny zmiata się i w kącie kurnika umieszcza. Lecz oprócz tego powinien gospodarz gromadę piasku w kurniku lub w zagrodzie na dworze zasypać, aby kury i drób wogóle — mógł się tarzać i w łatwy sposób z robactwa oczyścić. Od czasu do czasu trzeba gromadę odnowić, tj. starą, zużutą wywieść, a nawieźć świeżego piasku. Gromadka z piaskiem jest więc prawdziwą „kąpielą“ dla kur, która przy utrzymaniu drobiu niepoślednie miejsce zajmować powinna.

Użyteczność kaczek w ogrodach. Niektórzy właściciele ogrodów mają nieraz wiele kłopotu z powodu ślimaków i glist, wyrządzających niemałe szkody w roślinach. Celem wytępienia tych pasożytów używają często ogrodnicy z bardzo dobrym skutkiem kaczek. Nie należy jednak zapominać, że i kaczki podczas żerowania również uszkadzają przez stratowanie małe rośliny. Pewien właściciel ogrodów, który robił próby z kaczkami dużemi, donosi, że ogród jego został wprawdzie dostatecznie oczyszczony z dżdżownic i ślimaków, że jednak z drugiej strony kaczki zdeptały mu rośliny. Wskutek tego postanowił puszczać wolno młode kaczki, te bowiem nie są tak ciężkie, jak stare kaczki. Kaczęta te wychowały się w ogrodzie pod kwoką siedzącą w koszu, pod którą się ogrzewały i osuszały po zmoknięciu wskutek żerowania po ogrodzie i były zupełnie zdrowe. Zrana wpuszczano te kaczki na cały dzień do ogrodu. Kaczętom podawano po kilka razy na dzień karmę miękko zgotowaną, złożoną z chleba, mąki jęczmiennej i mleka. Gdy je wypuszczono zrana, wówczas tylko wyjątkowo zabierały się do podanej im karmy, natomiast z największym pośpiechem szły na grządki, szukając owadów, dopiero gdy zziębły lub przemokły, powracały do kwoki i wtedy zabierały się do przygotowanej dla nich karmy. Po krótkim wypoczynku ruszały na nowo do grządek, a ich gonitwy między roślinami i pościgi za białym motylem przedstawiały piękne widowisko.

Szkody wyrządzone przez kaczęta pomiędzy roślinami były bardzo nieznaczne, podczas gdy ilość pochłoniętych przez nie ślimaków i rozmaitych owadów była wprost zadziwiająco wielka, gdyż bystremu ich oku nie uszło najmniejsze żyjątko, a co one raz zoczyły, to ich uwagi więcej nie uszło. Właściciel ów dodaje, że korzyść, jaką stąd osiągnął, była podwójna, gdyż ogród jego został oczyszczony z owadów, a młode kaczki rosły bardzo szybko i tanim kosztem.

Nakoniec dodaje on, że każdy właściciel ogrodu powinien hodować kaczki, a wtedy będzie jego ogród jarzynowy zawsze w doskonałym stanie, a nadto osiągnie piękny dochód ze sprzedaży młodych kaczek.

Prędki sposób zagaszenia sadzy palących się w kominie. Skoro się spostrzeże palenie sadzy w kominie, wylewa się węborek wody na ognisko i zakrywa mokrą płachtą, aby zagrodzić drogę przeciągowi do komina. Tym sposobem w kilka minut ugasi się ogień w kominie.

O uprawie ziemniaków. Nieraz zdarza się widzieć, jak gospodarze sadzą ziemniaki pod radło na zimowej orce. Kartofli tak posadzonych, później nie można bronować dokładnie, tylko trzeba motyką gracować. Otóż ja uprawiam w inny sposób, a mianowicie: na zimę płytko ściernisko podoruję, wiosną daję 6-cio calową orkę, przykrywam ziemniaki skibą cztery cale głęboką, po trzech tygogniach bronuję dokładnie, później puszczam doprawiacz wzdłuż redlin 3 cale głęboko; po dwóch tygodniach bronuję dokładnie, aby wyniszczyć chwasty. Ziemniaki sadzone w taki sposób dobrze wschodzą, bo doprawiacz należycie ziemię poruszy. Gracować nie potrzeba, co oszczędza wiele pracy i czasu bo nad tem ludzie pracują całe tygodnie. *W. K.*

Cieniste miejsca w ogrodzie trudno jest kwiatami upiększyć, ponieważ największa część roślin w cienistem położeniu należycie się nie rozwija. Ale pomiędzy roślinami znaj-

dą się mniej wybredne, które dobrze się rozwiną, jeżeli już nie w jakim ciemnym kącie, to w półcieniu jako tako zdrowy żywot pędzić mogą. Do tych należą: dziewięciornik; kwiatek Krysztofa, pierwiosnka i niektóre inne.

Zakładanie pastwiska dla trzody chlewnej. Najnaturalniejszem, najzdrowszem i najtańszem utrzymaniem trzody chlewnej jest utrzymanie pastwiskowe. Na pastwisko wybiera się niedaleko oddalone, niezachwaszczone pole i obsiewa się je gęsto koniczyną czerwoną lub szwedzką. Bliskie położenie pastwiska jest z tego powodu wskazane, ponieważ czem dalej trzodę się pędzi, tem z jednej strony więcej wzmaga się żądza zaspokojenia głodu, z drugiej zaś strony ubytek nawozu staje się większym. Pastwisko powinno być o ile możności wolne od chwastów, ponieważ świnie chętniej spasają koniczynę aniżeli perz lub inne chwasty. Z tego też powodu powinno się wybierać na pastwisko tylko te części pola, na których koniczyna jest najbujniejsza i najgęstsza. Koniczyna musi być wysianą bez domieszki innych traw lub kminku. Świnie zjadają bowiem bardzo chętnie korzenie kminku, a ryjąc za nim uszkadzają koniczynę. Pastwisko, na którem znajduje się wyłącznie trawa, jest mniej polecenia godnem. Jeżeli się jest zmuszonym pastwiska takiego używać, to bez dodania karmy w chlewach nie będzie się można obejść. Pastwisko takie musi być nadto bardzo dobrze znawożone, ponieważ świnie chętnie zjadają tłuste trawy. Pastwiska z lucerną, również nie nadają się dla trzody chlewnej, ponieważ lucerna bardzo szybko twardnieje. Jeżeli świnie pozostają na pastwisku od 1 do 2 godzin, to woda nie jest potrzebną, natomiast konieczną jest woda i cień, jeżeli świnie pozostają na pastwisku przez południe. Tych kilka uwag, które podajemy za „Tygodnikiem rolniczym“ polecamy uwadze czytelników w czasie, w którym coraz więcej kładzie się wagi na przebywanie zwierząt użytkowych na pastwiskach, już ze względów zdrowotnych — jak silnego rozwinięcia organizmów zwierząt i zapobiegania chorobom.

Łączenie roi pszczół na wiosnę. Nawet w najlepiej utrzymywanym i zaopatrzonym stebniku, znajdą się na wiosnę pnie słabe i bez królowej, które połączyć się powinno. Jeżeli każdy z tych roi posiada królowę, zabiera się ją z jednego z nich na 2 do 3 dni przed połączeniem. W ostatni wieczór podaje się każdemu płynną karmę. Dnia następnego, który powinien być ciepłym, wybiera się jedną węzę wraz z pszczołami z jednego pnia i zawiesza w przeznaczonem na to miejscu. Obok wiesza się węzę z drugiego pnia, w dalszym ciągu z pierwszego i tak dalej na przemian w odległości 2 cm. Po 10 minutach przysuwa się węzy do siebie, aby po upływie dalszych 10 minut w tem samem następstwie w pniu umieścić. Królowę się zamyka, lecz już po upływie 24 godzin można ją wypuścić.

Zła maciora. Zdarza się, że maciora nie pozwala ssać prosiętom, a nawet gryzie je. Gospodarz sądzi, że maciora jest „złą“, czasem karze ją za to, aby na drugi raz się poprawiła. Lecz nic to nie pomaga, bo skoro to lub owo prosie do ssania się zabiera już maciora je chwyta i zdaje się, że będzie wielka bieda z wychowem prosiąt. Ale najczęściej nie maciora temu winna, nie jest ona „złą“, lecz wina leży po stronie prosiąt, a raczej gospodarza, który nie pomyślał o obłamaniu ostrych zębów. Gospodarz powinien zatem krótko po porodzie zrewidować prosięta, czy czasem nie mają ostrych zębów, które w tym razie za pomocą zwykłych obcążek łatwo jest obłamać.

Tylko zdrowe ziemniaki wysadzać się powinno, o czem nie dawno temu w artykuliku o sadzeniu ziemniaków wspominaliśmy. Do chorób ziemniaków jakich jest nie mało, przyłączyła się w zeszłym roku tak zwana „kędzierzawka naci“ (Blattrokrankheit), która dużo pól z ziemniakami nawiedziła. Nie ma to być zupełnie nową chorobą, bo dawniej przed laty tu i owdzie ją zau-

ważono. Ale właśnie w ubiegłym roku przybrała takie rozmiary, w jakich bodaj nigdy dotąd ani w przybliżeniu nie występowała. Nie dosyć zatem staranności dokładać można, aby wysadzano tylko zdrowe, kształtne, średniej wielkości i całe kłęby, aby z ziemniakami ostrożnie się obchodzono, nie uszkodzono ich, bo i do ziemniaków stosować można zdanie — „jaki siew taki plon". — Co do „kędzierzawki", to po wyglądzie kłębów nie można jej poznać, ale bardzo jest prawdopodobnem, że kłęby pochodzić mogą od roślin na kędzierzawkę zapadłych, jeżeli „mięso" ziemniaka ma ciemne plamy; potrzeba tylko kłęb przy końcu na poprzek przekroić.

Zapalenie wymienia zdarza się dość często u krów mlecznych. Przy zapaleniu powierzchownem, wymię jest tylko obrzmiałe, mleczność mało zmniejszona, natomiast wymię zaczerwienione i bolesne. Przy głębiej sięgającem zapaleniu obrzmienie i bolesność wzrastają, wymię staje się gorącem, sutki sztywnieją, a przy ich dotykaniu zwierzę zdradza silny ból. Wydzielanie mleka zmniejsza się, mleko jest serowate, często zmieszane z krwią; występuje gorączka, zwierzę nie chce jeść ani pić, niekiedy występuje ropienie. W każdym razie wymię trzeba często zdajać, w lżejszych wypadkach zmywać letnią wodą i smarować lanoliną. Zawsze trzeba dać na przeczyszczenie, w cięższych wypadkach 300 gr. soli glauberskiej i 30 gr. saletry w pół litrze wody. Wymię smarować lanoliną i powtarzać to dosyć często; jeżeli bolesność znaczna, wcierać lanolinę.

Lipiec. Wszystko już zaczyna dojrzewać: maliny, wiśnie, morele i t. p. z tych owoców; soki i konfitury są najlepsze. Owoców trzeba bacznie pilnować, opadłe staranie palić, doglądać warzywa na opóźnionych grzędach po wczesnym grochu można siać rzepę, flancować majeran, tymian, sałatę głowiastą, siać szpinak. Przeglądać często kapustę, a jeżeli są między listkami gąsienice, niszczyć je aby się nie rozmnażały. Kalafiory zimowe i inne rodzaje kapusty nie zaniedbać, ziemią okopać. Tymian, majeran, mirtę, melisę zciąć przed rozkwitnieniem i suszyć w miejscu przewiewnem, ale cienistem. Nasiona, które nie razem dojrzewają, mianowicie z roślin w rodzaju kapusty, trzeba w miarę ich dojrzewania zbierać, bo łatwo się wysypują i ptactwo łakomie się na nie rzuca. Czosnek i wcześniejszą cebulę zbiera się z ogrodu jak tylko listki pożółkną. Główną pracą w ogrodzie jest teraz pielenie i podlewanie.

Drobiu pilnować przed upałami, szczególnie indycząt, które teraz dostają korali i są najsłabsze i najwięcej podlegają chorobom, przeważnie z upału i przemoczenia tak na deszczu jak z rana na rosie. Drobiu już nie nasadzać, tak kurczęta jak i kaczęta sierpniowe są najsłabsze, daleko lepiej chowają się kurczęta wylęgnięte przy końcu września lub z początkiem października. Ważniejszych zajęć w gospodarstwie domowem teraz nie ma. Len zasiany w kwietniu, teraz już jest dobry i trzeba go wyrywać i suszyć.

Grzyby. W obecnej chwili, kiedy, tak przez wszystkich ulubiona potrawa zjawi się na stole, jaką są grzyby, mamy sobie za obowiązek podać kilka ogólnych przestróg względem używania grzybów.

Grzybów, chociaż za nieszkodliwe uznanych nigdy starych do gotowania nie brać.

Zawsze w kilka godzin po zebraniu dopiero gotować.

Czyszcząc i krająć duże grzyby wrzucać je zawsze do zimnej wody z trochą octu i nie używać aż dobrze z wody osiąkną. Nigdy nie jeść grzybów, mających dni kilka, gdyż są bardzo szkodliwe.



Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka w Krakowie. — Druk A. Rippera, Kraków.



DODATEK POWIEŚCIOWO-POETYCKI

DO NR. 6 i 7 „PRZODOWNICY“ ZA CZERWIEC I LIPIEC 1908 R.

JANKO MUZYKANT.

Przyszło to na świat wątłe, słabe. Kumy, co się były zebrały przy tapczanie położnicy, kręciły głowami i nad matką i nad dzieckiem. Kowalka Szymonowa, która była najmądrzejsza, poczęła chorą pocieszać:

— Dajta — powiada — to zapalę nad wami gromnicę, już z was nic nie będzie, moja kumo; już wam na tamten świat się wybierać i po dobrodziejaby posłać, żeby wam grzechy wasze odpuścił.

— Ba! — powiada druga — a chłopaka to zara trza ochrzcić; on i dobrodzieja nie doczeka, a powiada, błogo będzie, co choć i strzygą się nie ostanie.

Tak mówiąc, zapaliła gromnicę, a potem, wziąwszy dziecko, pokropiła je wodą, aż poczęło oczki mrużyć i rzekła jeszcze:

— Ja ciebie „krzcę“ w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego i daję ci na przezwisko Jan, a teraz-że duszo „krześciańska“ idź, skądeś przyszła. Amen.

Ale dusza chrześciańska nie miała wcale ochoty iść, skąd przyszła i opuszczać chuderlawego ciała, owszem, poczęła wierzgać nogami tego ciała, jako mogła i płakać, chociaż tak słabo i żałośnie, że jak mówiły kumy: „myślałby kto, kocię nie kocię, albo co!.

Posłano po księdza, przyjechał, zrobił swoje, odjechał: chorej zrobiło się lepiej. W tydzień wyszła baba do roboty. Chłopak ledwo „zipał“, ale zipał; aż w czwartym roku okukała kukułka na wiosnę chorobę, więc się poprawił i w jakiem takiem zdrowiu doszedł do dziesiątego roku życia.

Chudy był zawsze i opalony, z brzuchem wydętym, a zapadłymi policzkami; czuprynę miał konopną, białą prawie i spadającą na na jasne, wytrzeszczone oczy, patrzące na świat, jakby w jakąś niezmierną dalekość wpatrzone. W zimie siadywał za piecem i popłakiwał cicho z zimna, a czasem i z głodu, gdy matula nie mieli co włożyć ani do pieca, ani do garnka; latem chodził w koszulinie przepasanej krajką i w słomianym „kapalusie“, z pod którego obdartej kani spoglądał, zadzierając jak ptak głowę do góry. Matka, biedna komornica, żyjąca z dnia na dzień, niby jaskółka pod cudzą strzechą, może go tam i kochała po swojemu, ale biła dość często i zwykle nazywała „odmieńcem“. W ósmym roku chodził już jako potrzódka za bydłem, lub, gdy w chałupie nie było co jeść, za bedłkami do boru. Że go tam kiedy wilk nie zjadł, zmiłowanie Boże.

Był to chłopak nierozgarnięty bardzo i jak wiejskie dzieciaki, przy rozmowie z ludźmi, palec do gęby wkładający. Nie obiecywali sobie nawet ludzie, że się wychowa, a jeszcze mniej, żeby matka mogła doczekać się z niego pociechy, bo i do roboty był ladaco. Nie wiadomo skąd się to takie ulęgło, ale na jedną rzecz był tylko łapczywy, to jest na granie. Wszędzie też je słyszał, a jak tylko trochę podrósł, tak już o niczem innem nie myślał. Pójdzie, bywało, do boru za bydłem, albo z dwojakami na jagody, to się wróci bez jagód i mówi, szepleniąc:

— Matlu! tak ci coś w boru „grlało!“ Oj! oj!

A matka na to:

— Zagram ci ja, zagram! nie bój się!

Jakoż czasem sprawiała mu warząchwią muzykę. Chłopak krzyczał, obiecywał, że już nie będzie, a taki myślał, że tam coś w boru grało... Co? albo on wiedział?... Sosny, buki, brzezina, wilgi, wszystko grało: cały bór i basta.

Echo też... W polu grała mu bylica, w sadku pod chałupą świrkotały wróble, aż się wiśnie trzęsły! Wieczorami słuchiwał wszystkich głosów, jakie są na wsi i pewno myślał sobie, że cała wieś gra. Jak posłali go do roboty, żeby gnój rozrzucał, to mu nawet wiatr grał w widłach.

Zobaczył go tak raz karbowy, stojącego z rozrzuconą czupryną i słuchającego wiatru w drewnianych widłach... zobaczył: i odpasawszy rzemyka, dał mu dobrą pamiątkę. Ale na co się to zdało! Nazywali go ludzie „Janko muzykant!“... Wiosną uciekał z domu, kręcić fujarki wedle strugi. Nocami, gdy żaby zaczynały rzechotać, derkacze na łąkach derkotać, bąki po rosie burczyć; gdy koguty piały po zapłociach, to on spać nie mógł, tylko słuchał i Bóg go jeden wie, jakie on i w tem nawet słyszał granie... Do kościoła matka nie mogła go brać, bo jak, bywało, zahuczą organy lub zaśpiewają słodkim głosem, to dziecku oczy tak mgłą zachodzą, jakby już nie z tego świata patrzyły...

Stójka, co chodził nocą po wsi i aby nie zasnąć, liczył gwiazdy na niebie, lub rozmawiał po cichu z psami, widział nieraz białą koszulę Janka, przemykającą się w ciemności ku karczmie. Ale przecież chłopak nie do karczmy chodził, tylko przed karczmę. Tam, przyczaiwszy się pod murem, słuchał. Ludzie tańcowali obertasa, czasem jaki parobek pokrzykiwał: „U-ha!“ Słuchać było tupanie butów, to znów głosy dziewczyn: „Czegóż?“ Skrzypki śpiewały cicho: „Będziem jedli, będziem pili, będziewa się weselili“, a basetla grubym głosem wtórowała z powagą: „Jak Bóg dał! jak Bóg dał!“ Okna jarzyły się światłem, a każda belka wkarczmie zdawała się drgać, śpiewać i grać także, a Janko słuchał!...

Coby on za to dał, gdyby mógł mieć takie skrzypki grające cienko: „Będziem jedli, będziem pili, będziewa się weselili“. Takie deszczułki śpiewające. Ba, ale skąd ich dostać? gdzie takie robią? Żeby mu przynajmniej pozwolili choć raz w rękę wziąć coś takiego!... Gdzietam! Wolno mu tylko było słuchać, to też i słuchał zwykle dopóty, dopóki głos stójki nie ozwał się za nim w ciemności:

— Nie pójdzież-że ty do domu, utrapieńcze?

Więc wówczas zmykał na swoich bosych nogach do domu; a za nim biegł w ciemnościach głos skrzypiec: „Będziem jedli, będziem pili, będziewa się weselili“ i poważny głos basetli: „Jak Bóg dał! Jak Bóg dał! jak Bóg dał!“

Gdy tylko mógł słyszeć skrzypki, czy to na dożynkach, czy na weselu jakiem, to już dla niego było wielkie święto. Wlazł potem za piec i nic nie mówił po całych dniach, spoglądając jak kot błyszczącemi oczyma z ciemności. Potem zrobił sam sobie skrzypki z gonta i włosienia końskiego, ale nie chciały grać tak pięknie, jak tamte w karczmie: brzęczały cicho, bardzo cichutko, właśnie jak myszki jakie, albo komary. Grał jednak na nich od rana do wieczora, choć tyle za to odbierał szturchańców, że w końcu wyglądał jak obite jabłko niedojrzałe. Ale taka to już była jego natura. Dziecina chudł coraz bardziej, brzuch tylko zawsze miał duży, czuprynę coraz większą i oczy coraz szerzej otwarte, choć najczęściej łzami zalane, ale policzki i piersi wpadały mu coraz głębiej i głębiej...

Wcale nie był jak inne dzieci, był raczej jak jego skrzypki z gonta, które zaledwie brzęczały. Na przednowku przytem przymierał głodem, bo żył najczęściej surową marchwią i także chęcią posiadania skrzypek.

Ale ta chęć nie wyszła mu na dobre.

We dworze miał skrzypce lokaj i grywał

czasem na nich szarą godziną, aby się podobać pannie służącej. Janko czasem podczołgiwał się między łopuchami aż pod otwarte drzwi kredensu, żeby im się przypatrzeć. Wisiały właśnie na ścianie naprzeciw drzwi. Więc tam chłopak duszę swoją całą wysłał ku nim przez oczy, bo mu się zdawało, że to niedostępna jakaś dla niego świętość, której nie godzien tknąć, że to jakieś jego najdroższe ukochanie. A jednak pożądał ich. Chciałby przynajmniej raz mieć je w ręku, przynajmniej przypatrzeć się im bliżej... Biedne małe chłopskie serce drżało na tę myśl ze szczęścia.

Pewnej nocy nikogo nie było w kredensie. Państwo oddawna siedzieli za granicą, dom stał pustkami, więc lokaj przesiadywał na drugiej stronie u panny pokojowej. Janko, przyczajony w łopuchach, patrzył już oddawna przez otwarte szerokie drzwi na cel wszystkich swych pożądań. Księżyc właśnie na niebie był pełny i wschodził ukośnie przez okno do kredensu, odbijając je w kształcie wielkiego jasnego kwadratu na przeciwległej ścianie. Ale ten kwadrat zbliżał się powoli do skrzypiec i w końcu oświetlił je zupełnie. Wówczas w ciemnej głębi wydawało się, jakby od nich biła światłość srebrna; szczególniej wypukłe zgięcia oświecone były tak mocno, że Janek ledwie mógł patrzeć na nie. W onym blasku widać było wszystko doskonale: wcięte boki, struny i zagiętą rączkę. Kołeczki przy niej świeciły jak robaczki świętojańskie, a wzdłuż zwieszał się smyczek nakształt srebrnego pręta...

Ach! wszystko było śliczne i prawie czarodziejskie: Janek też patrzył coraz chciwiej. Przykucnięty w łopuchach, z łokciami opartymi o chude kolana, z otwartemi ustami, patrzył i patrzył. To strach zatrzymywał go na miejscu, to jakaś nieprzezwyciężona chęć pchała go naprzód. Czy czary jakie, czy co?... Ale te skrzypce w jasności czasem zdawały się przybliżać, jakoby płynąć ku dziecku... Chwilami przygasały, aby znowu rozpromienić się jeszcze bardziej. Czary, wyraźne czary! Tymczasem wiatr powiał; zaszumiały cicho drzewa, załopotały łopuchy, a Janek jakoby wyraźnie usłyszał:

— Idź, Janku! w kredensie niema nikogo... idź, Janku!...

Noc była widna, jasna. W ogrodzie dworskim nad stawem słowik zaczął śpiewać i pogwizdywał cicho, to głośniej: „Idź! pójdź! weź!“ Lelek poczciwy cichym lotem zakręcił się koło głowy dziecka i zawołał: „Janku, nie! nie!“ Ale lelek odleciał, a słowik został i łopuchy coraz wyraźniej mruczały: „Tam niema nikogo!“ Skrzypce rozpromieniły się znowu...

Biedny, mały, skulony kształt zwolna i ostrożnie posunął się naprzód, a tymczasem słowik cichuteńko pogwizdywał: „Idź! pójdź! weź!“

Biała koszula migotała coraz bliżej drzwi kredensowych. Już nie okrywają jej czarne łopuchy. Na progu drzwi kredensowych słychać szybki oddech chorych piersi dziecka. Chwila jeszcze, biała koszulka znikła, już tylko jedna bosa nóżka wystaje za progiem. Naprόżno, lelku, przelatujesz jeszcze raz i wołasz: „Nie! nie!“ Janek już w kredensie.

Zarzechotały zaraz ogromnie żaby w stawie ogrodowym, jak gdyby przestraszone, ale potem ucichły. Słowik przestał pogwizdywać, łopuchy szemrać. Tymczasem Janek czołgał się cicho i ostrożnie, ale zaraz go strach ogarnął. W łopuchach czuł się jakby u siebie, jak dzikie zwierzątko w zaroślach, a teraz był jak dzikie zwierzątko w pułapce. Ruchy jego stały się nagłe, oddech krótki i świszczący, przytem ogarnęła go ciemność. Cicha letnia błyskawica, przeleciawszy między wschodem i zachodem, oświeciła raz jeszcze wnętrze kredensu i Janka na czworakach przed skrzypcami, z głową zadartą do góry. Ale błyskawica zgasła, księżyc przesłoniła chmurka i nic już nie było widać ani słychać.

Po chwili dopiero z ciemności wyszedł dźwięk cichutki i płaczliwy, jakby ktoś nieostrożnie strun dotknął — i nagle...

Gruby jakiś, zaspany głos, wychodzący z kąta kredensu, spytał gniewliwie:

— Kto tam?

Janek zataił dech w piersiach, ale gruby głos spytał powtórnie:

— Kto tam?

Zapałka zaczęła migotać po ścianie, zrobiło się widno, a potem... Ech! Boże! Słychać klątwy, uderzenia, płacz dziecka, wołanie: O! dla Boga, szczekanie psów, bieganie świateł po szybach, hałas w całym dworze...

Na drugi dzień biedny Janek stał już przed sądem u wójta.

Mieliż go tam sądzić jako złodzieja?... Pewno. Popatrzyli na niego wójt i ławnicy, jak stał przed nimi z palcem w gębie, z wytrzeszczonemi, zalękłemi oczyma, mały, chudy, zamorusany, obity, nie wiedzący, gdzie jest i czego od niego chcą? Jakże tu sądzić taką biedę, co ma lat dziesięć i ledwo na nogach stoi? Do więzienia ją posłać, czy jak?... Trzebaż przytem mieć trochę miłosiedzia nad dziećmi. Niech go tam weźmie stójka, niech mu da rózgą, żeby na drugi raz nie kradł i cała rzecz.

— Bo pewno!

Zawołali Stacha, co był stójką:

— Weż go ta i daj mu na pamiątkę.

Stach kiwnął swoją głupowatą, zwierzęcą głową, wziął Janka pod paahę jakby jakiego kociaka i wyniósł ku stodółce. Dziecko, czy nie rozumiało o co chodzi, czy się zlękło, dość, że nie ozwało się ni słowem, patrzyło tylko, jakby patrzył ptak. Albo on wie, co z nim zrobią? Dopiero jak go Stach w stodole wziął garścią, rozciągnął na ziemi i podgiąwszy koszulinę, machnął od ucha, dopieroż Janek krzyknął:

— Matulu! — i co go stójka rózgą, to on: „Matulu! matulu!“ ale coraz ciszej, słabiej, aż za którymś razem ucichło dziecko i nie wołało już matuli!...

Biedne potrzaskane skrzypki!...

— Aj, głupi, zły Stachu! któż tak dzieci bije? Toż to małe i słabe i zawsze było ledwie żywe.

Przyszła matka, zabrała chłopaka, ale musiała go zanieść do domu. Na drugi dzień nie wstał Janek, a trzeciego wieczorem konał już sobie spokojnie na tapczanie, pod zgrzebnym kilimkiem.

Jaskółki świegotały w czereśni, co rosła pod przyzbą; promień słońca wchodził przez szybę i oblewał jasnością złotą, rozczochraną główkę dziecka i twarz, w której nie zostało kropli krwi. Ów promień był niby gościńcem, po którym mała dusza chłopczyka miała odejść. Dobrze, że choć w chwilę śmierci odchodziła szeroką, słoneczną drogą, bo za życia szła prawdziwie ciernistą. Tymczasem wychudłe piersi poruszały się jeszcze oddechem, a twarz dziecka była jakby zasłuchana w te odgłosy wiejskie, które wchodziły przez otwarte okno. Był to wieczór, więc dziewczęta wracające od siana, śpiewały: „Oj na zielonej, na runi!“ a od strugi dochodziło granie fujarek. Janek wsłuchiwał się ostatni raz, jak wieś gra... Na kilimku przy nim leżały jego skrzypki z gonta.

Nagle twarz umierającego dziecka rozjaśniła się, a z bielejących warg wyszedł szept:

— Matulu?

— Co synku? — ozwała się matka, którą dusiły łzy...

— Matulu! Pan Bóg mi da w niebie prawdziwe skrzypki?

— Da ci, synku da! — odrzekła matka; ale nie mogła mówić, bo nagle z jej twardej piersi buchnęła wzbierająca żałość, więc jęknąwszy tylko: „O Jezu! Jezu!“ padła twarzą na skrzynię i zaczęła ryczeć, jakby straciła rozum, albo jak człowiek, co widzi, że od śmierci nie wydrze swego kochania...

Jakoż nie wydarła go, bo gdy podniósłszy się, spojrzała znowu na dziecko, oczy małego grajka były otwarte wprawdzie, ale nieruchome, twarz zaś poważna bardzo, mroczna i stężała. Promień słoneczny odszedł także...

Pokój ci, Janku.

* * *

Nazajutrz powrócili państwo do dworu z Włoch, wraz z panną i kawalerem, co się o nią starał. Kawaler mówił:

— *Quel beau pays que l'Italie.*

— I co to za lud artystów. *On est heureux de chercher là-bas des talents et de les protéger...* — dodała panna.

Nad Jankiem szumiały brzozy.



DWIE GWIAZDY.

Ślepa matka kądziel przędzie,
Kądziel przędzie, nici mota...
— Wyjrzyj, wyjrzyj, synku miły,
Przede progi, przede wrota.

Wyjrzyj, synku, na wschód słońca,
Czy nie świeci gwiazda owa,
Szczero-modra owa gwiazda,
Betlejemska — trzej-królowa.

Na góreczkę wyleć pędem,
Gdzie ta wierzba, ta pochyła,
A prościutko patrzaj w niebo,
Żeby mi cię obświeciła!

— A jakże ją poznam, matko,
Pośród innych gwiazd tysiąca,
Co się palą nocką jasną,
Na wschód chaty, na wschód słońca?

— Poznasz ci ją, synku miły,
Poznasz ci ją zaraz po tem,
Że nad chatą, gdzie syn wdowi,
Najrzęsistszem sypie złotem...

Poznasz ci ją po jasności,
Nad gwiazdami, nad wszystkiemi,
Bo tam świeci najogniściej,
Gdzie najczarniej jest na ziemi...

Poznasz ci ją, bo się pali
Nad polami, jakby żywa,
Dziw do człeka nie przemówi.
Taka w sobie żałośliwa!

Czekam ja jej roczek cały,
Boć ci już dochodzą lata,
Żebyś pierwszy ją obaczył,
Kiedy wzejdzie na kraj świata.

Bo ta gwiazda jest pomocna
Do wszelakiej dobrej doli,
Żeby mi cię nie pognali,
Od tej chaty, od tej roli!...

Żeby mi cię nie pognali
Na dalekie, ciężkie drogi...
Wyjrzyj, wyjrzyj, synku miły,
Przede wrota, przede progi!

— Widać, widać, matuleńko!
Na wschód chaty, na wschód słońca
Stoi wielka jasność boża,
Stoi gwiazda gorejąca.

Jak smolna się głownia jarzy,
Ogniem wije niby żmiją,
Aż patrzący włosy wstają,
Aż psy wszystkie we wsi wyją.

Okrutna się od niej miotła
Nad chałupą naszą wali...
Jużci musi betlejemska,
Kiedy się tak tęgo pali!...

— Nieszczęśliważ dola moja!
Nieszczęśliważ moja głowa!
Oj, wyjrzała na cię gwiazda,
Ale nie ta trzej-królowa!

Oj, wyjrzała na cię gwiazda,
Co w dalekie pędzi kraje,
Co chleb we łzach żywym macza,
A grób cudzy kościom daje...

Oj, wyjrzała na cię gwiazda,
Co ma oczy urokliwe,
Oj walą się od niej chaty,
Oj walą się płoty krzywe!

Oj płyną ci od niej zdroje
Krwią serdeczną za tułaczem,
Oj zawodzą pod nią pola
Wielkim jękiem, ciężkim płaczem!

Oj truchleje od niej serce,
Oj więdnieje młoda głowa...
Obświeciła mi cię gwiazda,
Ale nie ta trzej-królowa!

Zagasł ogień na kominie,
Stoi w oknie miotła złota,
Ślepa matka głową trzęsie,
Ani przędzie, ani mota...

M. Konopnicka.



OBIELIŁ NAM...

Obielił nam nasze chaty
Nowy dzionek złoty.
Widniej, widniej teraz ludziom,
Co w niej do roboty:

Do roboty — grodzić płoty,
Okopywać rowy,
Strzedz na siłę, co nam miłe,
Na ten roczek nowy;

Do roboty — lepić ściany.
Gdzie się która pada,
Boć ta chata stoi lata,
Jeszcze od pradziada!

Do roboty — bić wyloty
Na słoneczną stronę,
Niech uderzy dzionek świeży,
W te ściany omszone!

Do roboty — przede wroty
Umieść czysto progi,
Wyrwać chwasty, cierń kolczasty,
Co nam rani nogi!

Do roboty — walić w młoty,
O kowadło życia,
W huku, trzasku, w iskier blasku,
Krzesać serca bicia!

Do roboty — trząść wymłoty,
Co plewa, co ziarno,
Mieć na chleby z własnej gleby
Mąkę — choćby czarną!

Do roboty — klepać kosy,
I strugać płużyce,
A toć przyjdzie kiedyś orka,
Przyjdą kosowice!

Do roboty — dla ochoty
A dla mocy ducha,
Śpiewać ową pieśń ojcową,
Z której przyszłość bucha!

Do roboty — na kłopoty
Mieć pociechę w sobie:
Zdarzy dola, co jej wola,
Ja com winien — robię!

M. Konopnicka.



Legenda górnicza o skarbniku.

Był dawno, dawno, wielki pan, możny król. Miał cały Ślązk dokoła, miał żonę i córkę i był szczęśliwy, ale go opętało bogactwo. Przemyśliwał dzień i noc, aby więcej srebra, więcej drogocenności, więcej złota nazbierać. Kochał tylko skarby i chował je to tu, to tam, pod ziemię, aby nikt nie znalazł, tylko on.

Umarła ze zgryzoty żona, umarła i córka, a on zbiera i zbiera. Nastał głód u nas; idą ludzie do niego po prośbie, aby dał złota, bo znali jego okrutne bogactwo... nie dał im nic.

Przyszła wojna, Niemcy idą i idą, nasi błagają go, proszą, zaklinają: daj złota na broń, na proch, na mundury. On stary, siwy, bezdzietny... nie dał im nic. Przyszli Niemcy do niego i mówią: „Daj złoto, pójdziemy z kraju, zostawimy lud w spokoju“; nie dał im nic... Tak tedy Pan Bóg, widząc zatwar-

działość jego, rzekł: Pilnujże ty tych skarbów i po śmierci, tułaj się tam, gdzieś je skrył, strachaj się przed odkryciem, aż wybędziesz swój czas i skończy się pokuta". Dopieroż on w płacz i pyta: kiedy się to skończy? — „Jak odpokutujesz, to i koniec będzie, a znakiem będzie ci czas, gdy Niemcy opuszczą Śląsk".

I pokutuje w kopalniach skarbnik do tego czasu. Dla naszych to bywa dobry, ale dla Niemców, niech ręka Boska broni, jaki zawzięty.

Górnicy powiadają, że ubrany jest w starodawny strój: zamiast guzików ma dyamenty, w pasie tkwi lampa, podpiera się oskardem, a stary, siwy, jak gołąb. Dla niego nie ma skały, węgla, tamy...

Dotknie oskardem i już go niema. Jak blizko skarbów dojdą górnicy, to naszych ostrzega, a Niemców zabija... albo tumani, przemieniając węgiel w kamień i górnicy zmamieni odchodzą. Taki on jest.

A. Gruszecki („Krety").



CHŁOPIEC.

Dunajcem w Pieniny
Bystro wody płyną,
Czemu na mnie krzywo
Spoglądasz dziewczyno?

Czemu na mnie krzywo
Spoglądasz dziewczyno,
I czemu po licach
Twoich łezki płyną?

DZIEWCZYNA.

Nie mamże ja płakać
Na moją niedolę?
Matusia umarli —
Tatuś przepił rolę!

Dzisiaj nas żyd z chaty
Na żebry wypędza.
Wszystko poszło z wódką.
Pozostała nędza.

Oj żeby mnie była
Matuś nie zrodziła,
Nie byłabym dzisiaj
Gorzko zawodziła.

I tybyś inaczej
Dziś na mnie spozierał,
A mnieby głód i mróz
Srodze nie doskwierał.

Już mnie i do życia
Odeszła ochota,
Oj biednaż ja bieda
Nieszczęsna sierota!

Wyszło dziewczę z chaty i siadło na progu,
Łzy z oczu ociera i skarży się Bogu.
Oj Boże! mój Boże! jak ciężko na świecie!
Ni chaty, ni roli ni gezła na grzbiecie.
Ciężko robić każą i głód cierpieć trzeba.
Zmiłuj się na demną, wielki Boże z nieba!
Póki matuś żyli, a tatuś nie pili
Choć robić kazali, ale nie głodzili.
Dziś głodno i chłodno i cierpko sierocie
I żyć pono trzeba do śmierci w tęsknocie.



Ojczyzna czeka!

Ojczyzna czeka! coś szepcze mi —
I dziwną skargą żałośnie brzmi —
Niby głos znany w mem uchu dzwoni,
Niby marzeniem puka do skroni,
A serce często w wieczornej ciszy
Wołanie owo tak wielkie słyszy.

Ojczyzna czeka!... Och! wiem — rozumiem,
Choć wypowiedzieć tego nie umiem,
Ale wiem na co czeka i woła,
Czemu swą prośbę rzuca dokoła
I jak sierota łzawo spogląda —
I jako ona pociechy żąda.

Ojczyzna czeka! na trudy, znoje,
Na moje czyny i cnoty moje...
I na tę miłość dla wszystkich dzieci,
Która noc nieszczęść zorzą rozświeci:
I na tę wiarę, co ma być siłą
I na tę zgodę tak dla niej miłą.
I na tę wolność, co zgoi rany
I złączy w całość kraj poszarpany!

Ojczyzna czeka! o! rzec to łatwo...
Lecz o tem myśleć wciąż trzeba dziatwo:
O każdym świcie, o każdym mroku
O każdym w pracy i w trudzie kroku!
Niech każda chwila z pomocą spieszy,
Zbliża — rozjaśnia — buduje — cieszy...
Dla Niej nauka — dla Niej zabawa,
Dla Niej myśl każda, każda poprawa...
Modlitwa, radość — łza i tęsknota...
Nadzieja — ufność, szczęście — pieszczota.
Wszystko co w życiu łączy się splata —
W godziny drobne i w wielkie lata,
Wszystko co w przeszłość szybko ucieka
Niech słyszy zawsze — Ojczyzna czeka!

Jak nie kochać!

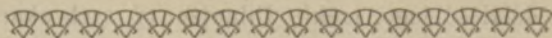
Jak nie kochać o mój Boże
Tej prześlicznej Polskiej ziemi,
Tych pól strojnych w złote zboże,
Co nas karmi ziarny swemi?
Jak nie kochać tych wód jasnych —
Co się wiją w ciemnych wstęgach,
Tych chat wiejskich — niskich — ciasnych,
I lud w białych tych siermięgach?

Jak nie kochać tych powieści
O Kościuszce — Racławicach!...
I o ojcach sławnych wieści
Kiedy płynie łza po licach?
Jak nie kochać lasów gwaru,
Śpiewu ptasząt — dzwonów grania,
Gdy w tem wszystkiem tyle czaru,
Że lgnie serce do kochania!

Jak nie kochać pieśni dawnych,
O żołnierzu i tułaczu,
Miejsc tych, z wspomnień wielkich, sławnych,
Gdzie dziś szemrzą jęki płaczu!
Jak nie kochać każdej chwili
Z dziejów kraju ojczystego,
Gdy, co kartkę się odchyli
Błyśnie zawsze coś pięknego!...

Muszę kochać, bom z tej ziemi,
Co nad wszystkie najpiękniejsza,
Co słynęła czyny swemi —
I z cnót była najjaśniejsza...
Muszę kochać — bo mi matka
Miłość wielką w serce wlała,
Więc już zawsze — do ostatka
Będę Polskę swą kochała!





Poczekajże!

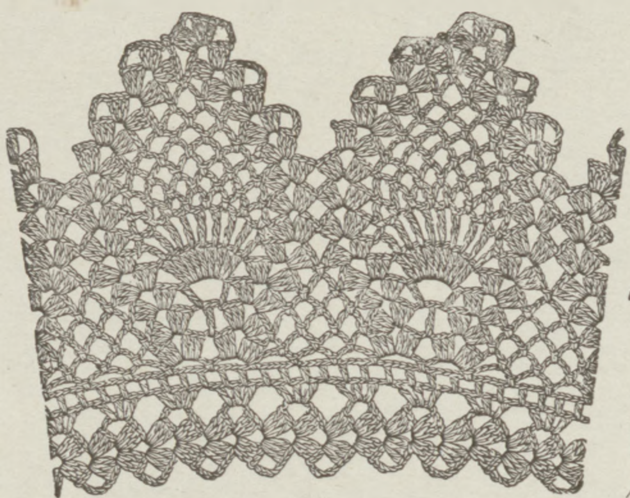
Poczekajże słonko jasne
Chwileczkę poczekaj!
I z okienka mojej chatki
Prędko nie uciekaj!
Taki miły twój blask złoty,
Ja mam tyle do roboty,
Czekaj słonko! Czasu szkoda,
Gdy przepłynie jako woda,
Gdy wieczorny przyjdzie cień,
Miniony nie wróci dzień!

Poczekajże wiosno luba
Zwiń skrzydła — zaczekaj!
Z naszej wioski i z pól naszych
Rychło nie uciekaj!
Tyle kłosów trza do zbioru,
Dnia nie starczy do wieczoru,
Chleba trzeba, ziarn, nasienia,
Do nowego rozplenienia.
Gdy jesienny przyjdzie mrok
Łzą się zamgli ludzki wzrok.

Poczekajże życie moje
Stań chwilę — zaczekaj!
Nie goń ptakiem i tak szybko
W wieczność nie uciekaj!
Tyle nici mię oplotło
Jak w sieci — dokoła...
Obowiązków tyle czeka,
Pragnień tyle woła,
Bym wypełnić mogła je
Nie spiesz życie — nie spiesz się!

Lecz daremne te wołania,
Głos o skały bije!
Słonko idzie, lato mija
I ginie co żyje.
Nikt nie wstrzyma słońca drogi,
Nikt czasu nie wstrzyma...
Dzień się skończy, lato minie
Przyjdzie straszna zima.
Dzisiaj twoje! dzisiaj czyń!
Jutro woła: — czas — już giń!





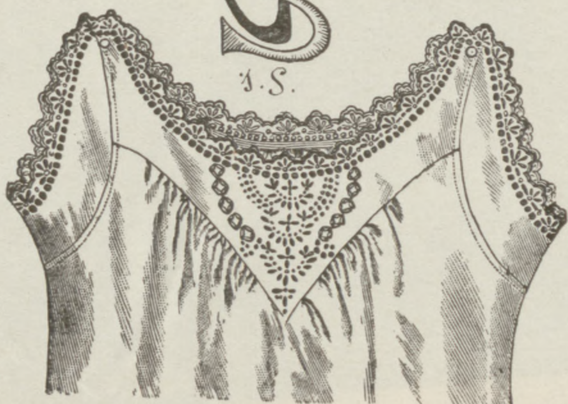
R. S.

J. S.









Koszula z karczkiem haftowanym



C. H.



F. R.



G. S.





F. S.

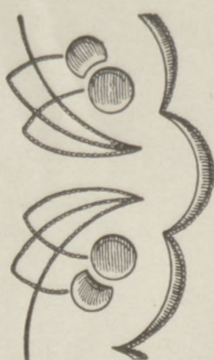


Q. B.



H. B.

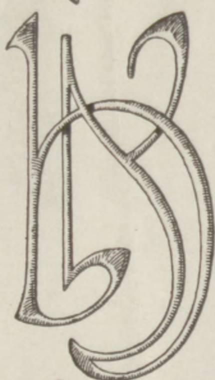
Z. P.







D. Z.



H. B.



S. M.



Wzory: haftów robót szydełkowych — sukienek dziecięcych — koszul kobiecych — monogramów.



O TRUCIZNACH W POKARMACH.

Między grzybami mamy wiele trujących, a te które nazywamy jadalnymi, również w niektórych wypadkach mogą być niezdrowymi. Wiadomem jest przecie, że lata bardzo gorące czynią grzyby szkodliwymi, jak też i grzyby stare dawno zbierane, nadpsute od robaków lub krótko gotowane, są niezdrowe.

Grzybek mikroskopijny, który my nazywamy pospolicie pleśnią, a który rzuca się na pożywienie, jest pochodzenia tak roślinnego, jak i zwierzęcego, i należy do bardzo niebezpiecznych trucizn. Przedstawia się on nam jako delikatny meszek, pleśń, którą to tak często spostrzegamy osobliwie na fermentujących napojach, na korzuchu na śmietanie, na chlebie, zwłaszcza pod wzdętą skórką chleba z zakalcem, na wędlinach, na mięsie gotowanem lub pieczonem, które nie zostało zaraz spożyte. Nieprzyjemny smak, niemiły, choć nie silny zapach zdradza ich obecność, pomimo, że jeszcze nieraz oko nic dostrzedz nie może, wtedy niech żadna gospodyni oszczędnością się nie unosi, pragnąc z tak nadpsutego pożywienia jakiś użytek mieć.

Pasożyty z pożywieniem do żołądka wprowadzone, są też wielką trucizną. Jedne zabijają szybko — inne powoli. Soliter, tak zwany tasiemiec, ten straszny pasożyt, który często sprowadza za sobą ciężkie konwulsyjne przypadłości, dostaje się przez wągry z wieprzowem mięsem spożyte. Wągry dostaje trzoda chlewna, nie trzymana porządnie, puszczona samopas około pomieszkań, zjadająca wstrętne nieczystości a wraz z nimi robaka, zjadająca szczury itp. Potem wągier, kulka biaława, w mięsie tkwiąca, pływająca niekiedy we krwi wieprzowej, gdy w żołądku ludzkim odżyć zdoła, wstępuje tam w przemianę trzecią, w tasiemca i oto zdrowie ludzkie zniszczone.

Wódka, tak lubiana i często używana, różnym ulega fałszowaniom. Dają do niej umyślnie rzeczy piekące i palące, aby była mocniejszą, a raczej aby ukryć w niej brak części spirytusowych, z[illegible]ają ją przeważnie pieprzem tureckim. Po użyciu takiej wódki doznaje się palącego uczucia w ustach i w gardle, które nie prędko przemija. Taksamo i do piwa, dodają nieraz rzeczy posiadających własności narkotyczne i odurzające, jako to: tytoń, główki maku, jagody rybilrutu, ciemierzycę, opium, wronie oko i t. p. Piwo takie prędko upaja, sprawia senność, odurzenie, szaleństwo, ślepotę i drażni silnie nerwy.

Zbytek i nadużycie wszelkich trunków mniej byłby szkodliwy, gdyby te obcymi dodatkami nie były fałszowane, zwłaszcza wina białe i czerwone. Ludzie niesumienni dodatkiem octanu, cukru ołowianego i innych preperatów z ołowiu, odbierają białemu winu kwas i ostry smak, a tem samem robią z niego napój jadowity, którego dłuższe użycie sprawia kolki, rżnięcie uparte, zatrzymanie stolca, konwulsye, paraliż a w końcu śmierć. Prawie wszystkie wina zawierają w sobie znaczną część spirytusu, jedynie tylko dlatego, aby wino było tęższe i więcej głowę zawracało. W tym samym celu siarkują również wina zbytecznie, co nietylko sprawia ociężałość głowy, ale jest więcej szkodliwem od spirytusu. Jeżeli wrzucimy do takiego wina, świeże jajo lub srebrny jaki przedmiot, to prędko czernieje. I czerwone wino podlega różnym fałszowaniom. Dla nadania mu większej trwałości i mocy, zaprawiają je spirytusem, marzanną farbierską, ałunem, krwią smoczą, fernambukiem i wielu jeszcze innymi, więcej lub mniej szkodliwemi rzeczami, starają się cierpki smak i kolor jego podnieść. Niema to, jak czysta i świeża woda, ta dla wszystkich, tak dla ludzi, jak dla zwierząt, jest najlepszym i najzdrowszym napojem. Woda źródlana jest najlepszą, lecz tę nie wszędzie

można mieć, w wielu okolicach muszą ludzie przestawać na wodzie rzecznej, stawowej stojącej, złej, nie czystej. Stąd też wynikają rozmaite choroby, zwłaszcza u dzieci i osób słabowitych. Wody takie należy raz lub dwa razy w roku, [illegible] wi[illegible]osnę po tajaniach i w jesieni oczyścić i za[illegible]cić kawał soli lub wapna. Wodę można sobie oczyszczać w różny sposob. Jeżeli jest mętna, zostawić ją w spokoju aż się brud usiądzie, jeżeli zaś nie ustoi się, to można ją wlać do naczynia z miałkim i czystym piaskiem i dobrze z nim zamącić, piasek osiadając na dnie, zabierze z sobą wszelkie nieczystości. Jeszcze lepiej będzie użyć do tego dwóch wysokich naczyń, jedno na drugim postawionych, z których by jedno, to wierzchnie, miało otwór w dnie i do połowy piaskiem napełnione było. Woda wlana weń, oczyści się przez piasek i już czysta do spodniego naczynia spływać będzie. Jeżeli woda jest zgniła, co w niektórych okolicach się zdarza, to można ją zdatną do picia lub przynajmniej mniej szkodliwą uczynić, jeżeli się w niej rozpuści trochę gliny i zostawi jakiś czas w spoczynku, aby glina zupełnie osiadła, lub jeżeli się ją przegotuje i przecedzi przez piasek, potem jednak należy ją wystawić na powietrze.

Najlepiej poprawia się woda zgniła świeżo palonem węglem drewnianem. Węgiel tłucze się na gruby proszek i gotuje się z nim wodę, jeżeli woda jeszcze nie utraciła swego złego i nieprzyjemnego zapachu i smaku, to trzeba ją przecedzić przez proszek węglowy, zapomocą dwóch naczyń, tak jak wodę mętną przez piasek. Niektóre okolice mają wodę tak twardą, że mydło nie pieni się w niej, lecz ścina w twarde grudki, groch, fasola, soczewica na miękko ugotować się w niej nie mogą, pomimo, że zdrowiu nie szkodzi ona zupełnie. Dlatego też nie ma się co silić na ulepszenie jej, tem więcej, że woda taka gotowana lub wystawiona na działanie słońca, psuje się. Jeżeli zaś woda ta jest nam za twarda i groch się w niej ugotować nie chce, to trzeba groch czy fasolę namoczyć przynajmniej na 12 do 18 godzin, a w gotowaniu dodać odrobinę sody, co zupełnie zdrowiu nie szkodzi, moczenie zaś grochu przed gotowaniem jest o tyle dobrem, że czyni groch daleko słodszym i nadaje mu delikatniejszego smaku, zwłaszcza jeżeli groch tak namoczymy, że aż zacznie cośkolwiek kiełkować, przez kiełkowanie wyrabia się w nim cukier i dlatego groch taki jest daleko smaczniejszy.

Nie każda najczystsza woda jest najzdrowszą. Woda deszczowa, jest bezprzecznie bardzo czystą, woda śniegowa tak samo, a przecież jest trudną do strawienia i po użyciu jej doznajemy przez dłuższy czas niemiłego parcia w żołądku. Woda dobra powinna zawierać w sobie pewną ilość cząstek ziemnych i solnych i odpowiednią ilość rozpuszczonego kwasorodu. Woda twarda ma za wiele, a mięka za mało ziemno solnych cząstek. Przez gotowanie utraca woda kwasoród, a cząstki jej ziemne i solne po większej części na dno opadają.

Ruch ma niezmierny wpływ na zdrowie, dlatego też wieśniacy, którzy długo i często zmuszeni są przebywać na wolnem powietrzu, cieszą się czerstwem zdrowiem.

Ruch ten sprawuje, że ich grube i częstokroć niestrawne pokarmy, stają się dla nich zdrowe i nieszkodliwe. Ruch utrzymuje naturalne wypróżnienie i dodaje ciału siły i trwałości, on też wiele przyczyn chorobnych bezskutecznymi czyni.

Jednak niepomiarkowana, ciężka i zbyt długa praca, osobliwie w upały słoneczne, szkodliwie wpływa na zdrowie ludzkie. Przez nią tracą włościanie siły i mogą zapaść w konsumcyę lub choroby zapalne, dostają ślinogorzu, kolek, zapalenia piersi, gorączki żółciowej i t. p. Bardzo szkodliwem jest zaraz po jedzeniu ciężko pracować, powstaje stąd nieład i już niejeden pracowity człowiek zdrowiem to przypłacił. Nic naturalniejszego, jak wypocząć po trudzie a następnie zasilić się pokarmem i napojem. Włościanie jednak kładą się zazwyczaj dla wy-

tchnienia, na ziemi często wilgotnej i zimnej i to zaraz po odbytej robocie, rozgrzani jeszcze od pracy, i dopiero biorą posiłek; jest to z wielu względów bardzo szkodliwe, gdyż tym sposobem narażają się na wszelkie niebezpieczeństwa, wynikające z nagłego ochłodzenia. Trzeba się więc najpierw zwolna przechodzić, aby ochłodnąć, a następnie dopiero można usiąść na ziemi, aby się posilić.

Umysł wesoły nie dotknięty żadną gwałtowną namiętnością, ma wielki wpływ na trwałość zdrowia. Wieśniacy przeważnie posiadają, bo są oni bowiem mniej czuli i nie doznają tak ciągłych i tak mocnych poruszeń umysłu, jak mieszkańcy miast. Główną ich namiętnością i źródłem wielu chorób jest popędliwość. Ona u wielu, zwłaszcza u osób silnych, sprawia wzburzenie i przyspieszony obieg krwi. Krew silnie dąży do twarzy i mózgu, ztąd powstaje czerwoność lica, iskrzą się oczy, zacina mowa, oddech jest przyspieszony i przerywany, nadto sprawia zbyteczną lub przerywaną sekrecyę żółci, a stąd gorączki żółciowe, wymioty żółciowe, kolki, żółtaczkę a nawet apopleksyę i nagłą śmierć.

U osób bardzo wrażliwych, których najmniejsza poruszy drobnostka, dzieje się wręcz przeciwnie. Gwałtowny gniew lub zmartwienia odciąga zbytecznie krew z powierzchni ciała do wewnętrznych części, twarz ich blednieje, doznają silnego bicia serca, drżenia całego ciała, spazmów, paroksyzmów epileptycznych, mdłości, czasami zapalenia żołądka lub kiszek, zaś najczęściej żółtaczki, wymiotów żółciowych lub gorączki żółciowej. Jak więc widzimy, tak w jednym, jak w drugim razie, gniew bardzo szkodliwe wywiera skutki. Osoby takie powinny się wystrzegać i zaraz po gniewie nie pić ani piwa, ani wina a już nigdy wódki, jest to tyle co zażyć trucizny i nie jednego już o życie przyprawiła. Najlepiej jest napić się serwatki lub wody ze solą i to zaraz po gniewie. Ta zmniejsza wzburzenie krwi w żółci, która się ulała, rozrzedza ją i zwolna wyprowadza poza granice ciała.

Chorób zaraźliwych nie potrzebują się wieśniacy tak obawiać, jak ludzie w mieście. Oni przepędzają cały dzień na świeżem powietrzu. Cząstki zaraźliwe rozpierzchają się i nikną na wolnem, suchem i czystem powietrzu. Ztąd też gwałtowność zarazy zmniejsza się na wsi lub całkiem niknie. Lecz ciche wilgotno-zimne lub ciepłe i wilgotne powietrze, niezmiernie gwałtowność choroby pomnaża i dlatego też wilgotne i bagniste okolice, najczęściej doznają chorób zaraźliwych, które najwięcej szerzą się między ludem najuboższym, jak najmniej ubezpieczonym od nieprzyjaznych zmian powietrza i przeważnie gromadnie żyjącym. Nadto odwiedziny chorych, użycie pościeli, bielizny, odzieży po zmarłych, wystawianie ciał ludzi zmarłych na zaraźliwe choroby, szerzy zarazę coraz dalej. Niejednokrotnie już mieliśmy sposobność przekonać się, jak świeże i czyste powietrze, potrzebne jest w izbach, gdzie przebywają chorzy i jak niebezpiecznem jest użycie pościeli, sukien i t. p. po zmarłych, dopóki te nie oczyszczą i nie wywietrzą się dokładnie. Bielizna powinna być doskonale wygotowana w silnym ługu, tak samo pościel, pierze powinno być dobrze wyprane, (przed dwoma laty podawałam w „Przodownicy" sposób prania pierza). Wszelkie rzeczy, którym siarka nie szkodzi, jak również pierze, kto nie chce prać może wysiarkować. Rzeczy zaś, które siarki nie znoszą, trzeba dać na działanie powietrza, wiatru, aby się dobrze wywietrzyły i to nie na jeden dzień, ale na tygodnie. Podłogi, łóżka i inne sprzęty drewniane, napojone pierwiastkiem zarazy, trzeba dobrze wyszorować silnym ługiem, a ściany raz i drugi świeżem pobielić wapnem. Zaniedbanie tych przepisów niszczy nieraz całe rodziny.

To są przyczyny najpospolitszych chorób ludu wiejskiego. Do tego dodać należy tylko jeszcze spóźnienie porządanej kuracyi, zaniedbanie dyety, niezastosowanie się do rady lekarza, a często nierozmyślne użycie szkodliwych lekarstw lub nadmierne użycie le-

karstw, a trzeba wiedzieć, że wszystkie te rzeczy czynią każdą chorobę jeszcze niebezpieczniejszą a często śmiertelną.

Prawie wszystkie choroby mają zwiastujące cierpienia i można ich częstokroć uniknąć lub przynajmniej złagodzić, jeżeli się taraz w początkach słabości wezwie lekarza, lub użyje odpowiednich domowych środków. Są ludzie tacy, którzy są prawdziwie biedni i nie mają na lekarza i aptekę, nic więc dziwnego, że się z leczeniem ociągają i czekają aż samo będzie lepiej, na czem jednak najczęściej źle wychodzą. Ale są i tacy, którzy mają na to, aby się leczyć, ale im żal pieniędzy, bo to jak Pan Bóg da, to i bez doktora się wyleczą. Ale jak już źle, jak im choroba dobrze dokuczy, wtedy do lekarza i ten lekarz ma cudu dokonać i już nieraz konającego ratować; no czasami się uda, ale przeważnie, że już zapóźno doktora przywożą a tu księdza potrzeba i potem powiadają: a doktór był, ale nic nie poradził; no pewno, bo trzeba go było o tydzień wcześniej zawezwać. Dlaczego to więcej umiera ludzi biednych niż bogatych, czy to Pan Bóg tak chce? Nie, ale dlatego, że bogaty mniej ma sposobności do nabycia choroby a prędzej i łatwiej może się uleczyć.

Ochędostwo w izbach, gdzie chorzy pozostają, jest również bardzo ważną rzeczą. Wieśniacy zaś przeważnie leżą w izbach małych, szczupłych, zamkniętych o małych okienkach, skąd mało światła i powietrza, a ta trochę co jest, przesyca się wnet wyziewami choroby, zwłaszcza w chorobach gorączkowych, psuje się powietrze bardzo prędko i tylko jeszcze wzmaga chorobę. Powietrze takie nawet zdrowym musi szkodzić. Bardzo szkodliwem także jest uprzedzenie, że osoby dotknięte gorączką, mające wyrzuty, katary, fluksyę, trzeba bardzo ciepło utrzymywać. Chorych takich okładają poduchami i pierzynami, że ci omało się nie uduszą. W czasie zimy, szczególniejszego dokładają starania, aby i odrobina świeżego powietrza do izby się nie dostała a w dodatku opalają izby do tego stopnia, że aż z sufitu i ze ścian woda się leje. Nie może być nic szkodliwszego nad takie przepalanie izby, sam zbytek ciepła już psuje i zanieczyszcza powietrze i te dwie przyczyny mogą już nawet zdrowych ludzi wprowadzić w choroby zapalne, a co mają powiedzieć chorzy. Ci dostają silniejszej gorączki, większego pragnienia, wpadają w bezsenność, majaczenie, stają się trwożliwymi, posępnymi i tkliwymi, oblewają się nie w porę potem i t. p., z czego często powstają inne choroby i tak chory walczy potem już nie z jedną, ale z kilkoma chorobami.

Również zdaje się ludziom, że chory jeść musi, aby żył, musi rzeczywiście, ale nigdy tyle co jadł, jak był zdrów. Chorzy mogą po parę dni być bez posiłku. Jest to wielkim błędem, jakoby chorego trzeba wzmacniać silnymi rosołami, bulionem, winem, piwem i t. p. Tem właśnie często pogarsza się chorobę i osłabia chorego. Pokarmy te prawie wszystkie ciężkie do strawienia i łatwo psujące się we wszystkich chorobach gorączkowych są szkodliwe, a tem więcej, im choroba bardziej jest zapalną. W tych wypadkach natura nie potrzebuje żadnego posiłku i chorzy pospolicie nie mają apetytu. Siła trawienia w chorobach zapalnych tem jest mniejszą, im cięższą jest choroba. U dzieci jest to rzecz trudniejsza, zaś u osób rozsądniejszych, już można śmiało czekać aż sami zażądają jeść. Zresztą tu zawsze lekarz powie, kiedy już choremu można dać co do jedzenia, trzeba tylko słuchać doktora, jak przykazania. Tak samo w chorobach długotrwałych, często wykraczamy przeciwko dyecie. Chorzy tacy jedzą zazwyczaj wszystko to co i zdrowi, nie pomnąc, że oni nie mają tyle ruchu, ani siły do strawienia tego. Prawie wszystkie długotrwałe choroby są właśnie wskutek źle przestrzeganej dyety. (Dok. n.)

